

KUŹNIA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok 2

Łódź, 3 czerwca 1946 r.

Nr 21 (39)

POEZJA ROSYJSKA*)

ALEKSANDER BŁOK

Z „Jambów“

Jam rzecz niezmierną wam zawierzył,
W powietrznej wszystko mgłę skowalem,
Młot w łodzi. W myślach — bohaterzy.
W ten sposób u was lądowałem.

Czerwona jest mej łodzi ława
Od rozszarpanych marzeń tętna,
Lecz w każdym domu, w każdej sprawie
Bohaterskiego szukam piękna.

Widzę: młodzieńców wzrok zgaszony
I ślepe wasze są dziewice,
Z powrotem! W mgłę! W podziemne schrony!
Nie młot trzeba wam, lecz bicia!

Już wkrótce się rozstanie z wami
I wnet mnie zobaczycie w górze
Za dymiącymi gór szczytami
Gdy będę leciał w ognia chmurze.

Przełożył Seweryn Pollak

BORYS PASTERNAK

Rok 1905

„Chłopi i robocizna“
(Fragment z poematu)

Jeszcze w marcu
Zadymka
Przesłania na mapie kolory.
Opatulił się kraj
I jak suszę
Miesiące odsypia.
Opadł śnieg na gałęzie,
Na sieć konspiracyj,
Na tory,
Zakrył bączki dragonów
I druty wzdłuż szosy przysypał.

Ale dał niewesoła.
Dostatek rad z siebie.
A z gruntu
Na tysiące wiorst wszedł.
Aż w niebiosa,
Jak tęga siwucha,
Bije nędza
I fuzlem
Zgęszczonej wściekłości i buntu,
Stupniowym ubóstwem
Na mrozie
Próbuje oszukać.

Ale już
Pańskie dwory
Płonienie pożarów zalały,
Setkom łun
Morze bród
Już dokoła przewodzi oboco,
I rozbestwia się gniew,
Nadjeżdżają już konne oddziały,
I rozlega się:
„Powstań
I przebudź się,
Ludu roboczy!“

I już pędzą
Na saniach
Głuchymi drózkami po lesie
W czym kto spał,
W czym w sypialni
Uciekał do szczytu spalony.
Całą drogę
Przez sosny
Złowrobie przyświeca im miesiąc
I potrząsa grzebieniem
I pieje
Kogut czerwony.

Nachylając się w dół,
Jodły dymią
I szmerzą coś z cicha.
Oto światła,
To powiat,
Tam dadzą schronienie nareszcie.
Jeszcze jeżdżą pociągi,
Do dziś o powszechnym nie słychać:
Tylko strajk
Pomrukuje
I budzi niepokój na mieście.

Paryż w obrotach, w cielcach złotych,
W stódkiej, jak zemsty cios, ulewie,
Pył po ulicach w płasach lotnych,
Kasztany kwitną, całe w gniewie.

I konie i trzaskanie biczem
Glazurą pokrył skwaru ogień,
I miejski żar, jak groch na sicie
Dygoce we framugach okien.

Mkną lekko kabriolety. „Dość ci
Na dzień na swoim utrapieniu“ (**)
Jutro? Dzień kłęski czy radości?
Drzewa się, kwitnąc, gniewem pienia.

A on, ich dłużnik, w zastaw wzięty,
Gdzież on się ukrył? Ach, alchemik!
Jak nad księgami, trwa zaklęty
Nad zaułkami ogłuchłymi.

Patry, kłapouch, w dół, w to mrowie,
Jak w tajną puszcę nieprzystępną,
I niezłym pajak, Paryżowi
Tka mszę zakobną i posepną.

**) Mat. VI. 34.

Przełożył Jerzy Pomianowski.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Z poematu „Kocham

Mój uniwersytet

Znacie francuski.
Dzielićcie.
Mnożycie.
Odmieniać jak po maśle.
Odmieniać na zdrowie!
A z domem
W pieśni potraficie
Znać się?
A rozumiecie się na tramwajowej mowie?
Ledwie wyklują się
Ludzkie piskłeta,
a już za książką,
za stos papierzyk ująć.
A ja dukałem sztyldów elementarz,
sironice żelaza i blachy wertują.
Wzmacniają,
oskrobiają,
ostrzygają z traw ją —
uczą.
I ni to globus, ni klocek.
A ja się biodrem
zmagam z geografją —
nie darmo żem
na ziemię
zwał się na nocleg!
Miedlą Howajskich czwartą część włosa:
— Ruda-li brode miał Barbarossa?
Niech sobie ma!
Tych bzdur nie wygrzebuje z nor ja —
i znana mi w Moskwie jest każda historia!
Dobrolubowa biorą (aby zła nienawidzić) —
nazwisko okoniem,
warczy ze szlachecka.
Ja
tłustych
zwykłem od lat nienawidzić,
bom się za obiad
sprzedawał od dziecka.
Wyczuć się,
przycupną
w popisach przed damami,
mysłatka brzęczą w pozłacanej główce.
A ja
gadałem
tylko z domami.
Rurociągi to moi jedyni rozmówcy.
Oknem strychowym jak uchem przygluchym
chwytają dachy — co wdmuchnę w słuch im.
A potem
o nocy,
o sobie na powtórkę
szwargotały,
wierząc językiem - kurkiem.

Przełożył Adam Ważyk

OSIP MANDELSZTAM

O, jeszcze mi daleko do patriarchy;
Jeszcze się w pół-człogodnym wieku liczę;
Jeszcze pomstują na mnie za plecami
W narzeczu zwad i kłótni tramwajowych:
„Taki, owaki...“ cóż, przepraszam, ale
Ja w głębi duszy nie zmieniam się wcale.

Kiedy pomyślisz, co ci wiąże z światem,
To się samemu nie chce wierzyć: fraszka;
Śródnocny klucz do cudzych drzwi, i drobny
Monetka srebrna w kieszeni, i jeszcze
Kłiszy kawałek z filmu zbójckiego.
— Do telefonu zrywam się jak szczeniak
Przy każdym jego dzwonku histerycznym.
W nim jest coś z polskich słów: „Dziękuję
pani“

Jakiś łagodny wyrzut zamieszcowy,
Czy też niedotrzymana obietnica...

Wejść głowie się: — co tu ze sobą począć?
W trzasku szmermeli, w sztucznych ogni błysku
Wyszumisz się — i zanur się spozstrzeżesz
Został ci bezczynny bezmyślny i bezwładny
Może spróbujesz przyjrzeć im się z bliska?...

Uśmiecham się, nadrabiam bladą miną,
Chodzę na spacer z laską jasnogłową,
W zaułkach podsłuchuję serenady,
Przed każdym kramem obliżuję wargi,
Wertuję książki w głębokich podśmieniacz...
Cóż, to nie życie. A to życie właśnie.

Przełożył Jerzy Pomianowski.

Sprawiedliwość w systemie oświa-
towym, konieczny warunek sprawie-
dliwości społecznej, stanowi jedną
z najistotniejszych więzi jednoczą-
cych sprawiedliwość z nauką.

Paul Langevin

Wtedy rozległ się trzask
Zamykanych okiennic,
I miasto
Gniewne,
Nagie,
Nijakie
I bardziej kamienne niż zwykle.
Było sobą bez wstydu.
Tak samo.
I żrenicą wygasa
Dostojnieją posągi,
Łódź stała się pracy pomnikiem.

Biura wcześniej zamknięto.
O piątej zamary ulice,
Po nieżywej już Łodzi
Benzyna
Rozpłynął się zachód,
Obrał gniew robotników
Za cele
Podjazdy konnyce.
Sieć barykad
Splątała
Ullice
Od gmachu do gmachu.

W nocy przyszły posiłki.
Z barykad
Po walce niedługiej
Między domy cofali się
Z dachów salwami grzmiać na dół.
Z każdym kół artylerii obrotem
Ktoś padał z obsługi,
I prestige
Z każdym nowym zaprzęgiem do działa
Upadał.

Przełożył Władysław Broniewski

Balzak

Zrenicie, których sen nie klei,
Ma urządzone jak wrzeczono;
Wije spelunki onej dzieje
Jak cienką nitkę nieskończoną.

By zrzucić złotodawcy jarzmo,
Lichwiarską przemoc nienawistną,
Trzeba, by ginął śmiercią straszną
I całą nitkę z motka wysnuł.

Więc po co było brać na kredyt
Giełdę i tłum i Paryż huczny
I w cieniu drzew wesołe wtedy.
Niefrasobliwe sielskie uczy?

Tak — lokaj o wolności marzy,
Buchalter — o emeryturze,
A ciężar pięści tych przeważy
Łom kamieniarski — także duże.

O, kiedyż, kiedyż, pot wytarłszy,
Zdmuchnąwszy kawy gąszez, co skruszał,
Od trosk odgrodził się, jak tarczą,
Szóstym rozdziałem Mateusza.

Przełożył Julian Tuwim

*) Z antologii „Dwieście lat poezji rosyjskiej, która wkrótce ukaże się nakładem „Czytelnika“.

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

Dyskusja o inteligencji (VI).

Inteligencja polska -- kapitalizm -- mieszczaństwo -- szlachta *)

INTELEGENCJA A ROZWÓJ KAPITALIZMU.

Związek kształtowania się inteligencji polskiej z rozwojem kapitalizmu stał się tematem polemicznych uwag Spectatora i p. Litwina. Spectator problem ten zilustrował na przykładzie Rosji, zwracając uwagę na odrębności kształtowania się inteligencji w Rosji w porównaniu z Zachodem. Te uwagi Spectatora są szczególnie cenne, tym bardziej, że, jak zwraca na to uwagę Krzywicki w „Pamiętnikach”, w latach osiemdziesiątych wiele prądów importowanych z Zachodu przychodziło do Królestwa via Rosja, za pośrednictwem inteligencji rosyjskiej. (L. Krzywicki: Fragment z „Pamiętników”, Kuźnica, I, IX, 1945).

Spectator kwestionuje moją tezę, że „inteligencja polska kształtowała się jako uboczny produkt, a nie jako pionierski element kapitalistycznego rozwoju”. W dalszych wywodach Spectatora okazuje się jednak, że nie tylko nie zaprzecza on tej tezie, lecz, przeciwnie, sam ją rozwija, wykazując, że „w Polsce procesy te przy wielu różnicach przedstawiają się podobnie jak w Rosji”, a „w Rosji inteligencja „raznoczyńska” stanowiła czynnik poprzedzający rozwój kapitalizmu”. A więc i tu i tam inteligencja nie kształtowała się „jako pionierski element kapitalistycznego rozwoju”.

Określenie Spectatora, że „inteligencja raznoczyńska stanowiła czynnik poprzedzający rozwój kapitalizmu” nie jest jednak dokładne, przynajmniej, jeżeli chodzi o Polskę. Kształtowanie się inteligencji polskiej nie wyprzedzało przecież w czasie wielko-przemysłowego rozwoju Łodzi.

Łódź jest raczej najbardziej jaskrawym przykładem kształtowania się kapitalistycznego ośrodka poza historycznie ukształtowanym szlacheckim społeczeństwem polskim przy pomocy cudzoziemców. W ciągu stu lat bezhistoryczna wioska zmieniła się w przodujący ośrodek przemysłowo-kapitalistyczny. Kapitalizm społecznie luźno związany ze społeczeństwem polskim niósł ze sobą procesy ekonomiczne, które potęgowały zapotrzebowanie na pracę intelektualną, a równocześnie powodowały emigrację elementu szlachecko-ziemiańskiego z dworów do miast.

Przed emigrantami z dworu ziemiańskiego miasto otwierało możliwości stworzenia środowiska intelektualnego i znalezienia odbiorców dla „duchowej” produkcji. Bez miast rozwijających się w związku z rozwojem kapitalizmu nie byłoby środowiska dla inteligencji. Inteligencja polska kształtowała się więc w związku z rozwojem kapitalizmu, ale na jego marginesie, na marginesie ekonomicznego organizmu miasta. W tym sensie była ubocznym produktem kapitalizmu.

Tutaj znowu Spectator dostarcza dowodu na potwierdzenie tej tezy pisząc, że „w przeciwieństwie do Zachodu, a podobnie jak w Rosji, żywiły te polskiej inteligencji zawodowej nie są organicznie związane z burżuazją miejską... anemiczny trzeci stan nie przejawia takiej żywotności by mógł ten element wchłonąć w siebie, spoić ze swymi dążeniami”. Ta konkluzja Spectatora znadza się całkowicie z obserwacjami „Wł. Grabskiego, Dmowskiego i Z. Wasilewskiego, ludzi związanych z ruchem wszechpolskim i z Narodową Demokracją”.

Ta zbieżność obserwacji „endeków” i Spectatora potwierdza raczej słuszność obserwacji.

Ze sprawą związku inteligencji z kapitalizmem wiąże się sprawa rezydencko-konsumcyjnej sytuacji inteligencji w ramach kapitalizmu. Spectator pisze, że p. Zawodziński „w sposób przekonujący obala twierdzenie Prof. Chałasińskiego o rezydencko-konsumcyjnym nastawieniu podstawowej masy inteligencji”. Sposób przekonywania jaki zastosował p. Zawodziński polegał na wskazaniu wybitnych inżynierów polskich, pracujących na Syberii i gdzie indziej. Obserwacja bardzo słuszna. Od siebie dodać mogę, że nie tylko inteligencja polska wykazywała poza krajem takie cechy, jakich nie wykazywała w kraju. To samo dotyczy polskich chłopów na emigracji w Ameryce i gdzie indziej.

P. Zawodziński pisze, że inżynier polski „pracował tam, gdzie mu wolno było, gdzie miał odpowiednie warunki, zyskowny teren pracy...”. Innymi słowy, przedsiębiorczy element emigrował z Polski budować mosty do Rosji, a w kraju zostawali ci, których te warunki i okoliczności skazywały na rezydencko-konsumcyjność w ra-

mach obcego kapitalizmu w kraju. Jest tu nieporozumienie. „Rezydenckość” nie należy pojmować, jak to czyni Zawodziński, a za nim Spectator, jako subiektywnej cechy psychicznej, ale jako element obiektywnej sytuacji inteligentnej w stosunku do ekonomicznego systemu społeczeństwa krajowego. „Rezydenckość” należała także do szlacheckiej tradycji środowiska inteligentnego. Rezydenckości oczekiwano od jednostki jego środowiska inteligentnego. W. M. Kozłowski w artykule p.t. „Czy mamy inteligencję? (Atheneum 1893 r.)” pisał, że „stanowisko „inteligenta” w naszym społeczeństwie pojmuje się jako mniej więcej niekłopotliwa synekura... Skoro młodzieńiec... pozyskał patent uniwersytecki, uważa za rzecz najludniejszą w świecie, aby już za to społeczeństwo udzieliło mu spory kawałek chleba publicznego, nie pytając nawet o to, jak będzie pełnił powinności swoje”. Obce środowisko, gdzie „inteligent” nie oznaczał ustalonej pozycji społeczno-towarzystwej, wywalało z jednostek zasoby inicjatywy i przedsiębiorczości, krępowane przez tradycję ich macierzystego środowiska. To były rzeczy znane. Chętnie zmieniał swój pogląd, gdy p. Zawodziński i Spectator dostarczają mi odpowiednich dowodów z kraju, a nie z Syberii.

Spectator widzi sprzeczność w tym, że podkreślam ogromną rolę inteligencji we wszystkich polskich ruchach wywoleńczych i rewolucyjnych, a bierność czy rezydenckość w sprawach gospodarczych. Takie „sprzeczności” są dobrze znane w historii i w życiu. Szlachta wykazywała zainteresowania dla sejmików, a pogardę dla handlu. To „sprzeczność” tego samego rodzaju.

SOLIDARYZM I SOLIDARNOSĆ.

Z drugiej strony, jakkolwiek rozwój kapitalizmu stanowił poważny czynnik kształtowania inteligencji polskiej, to jednak całe zagadnienie należy ujmować we właściwych wymiarach i we właściwej perspektywie. Faktu, że „Polska... nie była w pełni ogarnięta przez rozwój kapitalizmu” nie potrafi podważyć teoria o „pruskiej” drodze rozwoju kapitalizmu w Polsce, którą głosił p. Litwin w sposób zupełnie nieprzekonywujący. Lepiej sięgnąć do sumiennych naukowych opracowań, niż bezkrytycznie przenosić na nasz teren teorie oparte na obserwacjach z innych krajów. Weźmy do ręki pracę Ludwika Landau p. t. „Gospodarka światowa. Produkcja i dochód społeczny w ilczbach”, wydana w 1939 r. W pracy tej znajdujemy potwierdzenie faktu, że po poprzedniej wojnie na kapitalistycznym rynku znalazła się Polska w grupie zacofanych krajów rolniczych, do których kapitalizm dopiero zaczął docierać, i w których objął zaledwie niewielką część życia gospodarczego” (str. 17). Do tej samej grupy należały kraje bałkańskie i bałtyckie, oraz Węgry, Rumunia, Hiszpania i Portugalia, a z pozaeuropejskich Ameryka Środkowa i Południowa, Indie, Chiny i inne kraje Azji i Oceanii, oraz Afryka. Wszystko to kraje o 65 — 75 proc. ludności rolniczej, o strukturze posiadłości kolonialnych, których ludność dzieli się na białych i kolorowych, przybyszów i tubylców. Biali należą do nowoczesnej cywilizacji kapitalistycznej, cywilizacji węgla i elektryczności, kolorowi trzymają się w ramach naturalnej gospodarki, nie korzystając ze zdobyczy kapitalizmu i należąc do niego jako rezerwa taniej siły roboczej i producent przy mitywnie uprawianych plodów rolnych.

Z kapitalizmem Polska była złączona przez nieliczne ośrodki przemysłowo-miejskie, które rozwinęły się w czasach zaborczych, bądź to w związku z rosyjskimi rynkami zbytu, jak przemysł włókienniczy i maszynowy w Królestwie Polskim, bądź to w związku z ekonomicznym rozwojem Niemiec i Austrii, jak górnictwo węglowe Śląska, lub naftowe Galicji.

W krajach przodującego kapitalizmu przede wszystkim w Anglii i w Stanach Zjednoczonych, rozwój kapitalizmu angażował całą ludność w dzieło cywilizacyjnej ekspansji. Z wyższym poziomem techniczno-cywilizacyjnym szedł w parze nie tylko większy udział mas robotniczych w dobrach cywilizacji, ale także świadomość udziału w wielkiej ekspansji cywilizacyjnej tak charakterystyczna dla robotników anglosaskich. To łagodziło znacznie klasa we antagonizmy, powodując, iż klasowa świadomość robotnicza krajów anglosaskich, a więc krajów przodującego kapitalizmu, zarysowuje się znacznie słabiej niż gdzie indziej.

Rozwój kapitalizmu w przodujących krajach kapitalistycznych stwarzał podłoże, nie tylko dla antagonizmów klasowych, lecz także dla przejawów solidarności różnych klas w obrębie jednej wspólnoty na-

rodowej brytyjskiej czy amerykańskiej. Mit o wielkiej misji cywilizacyjnej białego człowieka jest nie tylko mitem arystokracji angielskiej, lecz także angielskiej klasy robotniczej. W związku z tym, pisząc o mając na myśli wiek XIX, że „w Polsce nie działo się nic takiego, co by angażując zarówno chłopów, jak i szlachtę w wielkie dzieło cywilizacyjne budowy kraju, dokonywało realnego zjednoczenia w płaszczyźnie wspólnego czynu”.

Na to p. Litwin pisze: „obcy są nam solidarystyczne złudzenia, jakoby możliwe było angażowanie zarówno chłopów, jak i szlachty w wielkie dzieło cywilizacyjne budowy kraju... Przyjmując do wiadomości ci te deklaracje, tym bardziej ciekawą, że wypowiedzianą, jak i cały artykuł p. Litwina w liczbie mnogiej, pluralis maiestaticus. Ale doktryna solidaryzmu to jedna sprawa, a rzeczywiste historyczne czynniki łączące różne klasy w jedną wspólnotę narodową, czyli czynniki narodowej solidarności wszystkich klas, to inna sprawa.

Naród jako jednostka dziejowa nie jest mniej realnym źródłem więzi społecznej niż klasa. W poznaniu naukowym niepożądana jest jednostronność w żadnym kierunku. Należy również rozróżnić naukowe dochodzenie czynników solidarności społecznej od zainteresowania dla doktryny solidaryzmu. W każdym razie zwalczanie doktryny solidaryzmu, w imię innej doktryny nie powinno iść tak daleko, aby przeszkadzało rozumieniu historii społecznej. Najwyższy czas również, abyśmy w Polsce w myśleniu na temat kapitalizmu wyszli z fazy fetyszyzmu i aby zagadnienie kapitalizmu stało się w Polsce tematem naukowym. Przy bezmiejnym naukowym ujęciu okaże się, że ten „drażliwy” i równocześnie „tędrliwy” kapitalizm miał także inne strony. Konstrukcyjne elementy kapitalizmu jako historycznego tworu nie są bynajmniej tworem fantazji endeckich mitologów „trzeciego stanu”. Kapitalizm przygotowywał drogę dla uposażenia gospodarstwa nie tylko przez stwarzanie technicznej podstawy do tego. Kapitalizm kształtował w masach typ konstrukcyjny i produkcyjny człowieka i konstrukcyjnych i produkcyjnych ambicji, bez tego świadomość klasowa więcej znajduje satysfakcji w wywłaszczaniu dóbr i wartości nagromadzonych przez inne klasy, niż w produkowaniu i tworzeniu nowych. P. Litwin ma rację pisząc, że „słuszne teorie i piękne idee by bezsprzecznie wychowały naród, Miesiąc wielkiej rewolucji dokonuje jednakże dzieła, jakiemu nie podoleją lata zmudnej pracy wychowawczej i organizacyjnej”.

Nie należy patrzeć na rewolucję szlacheckimi oczyma i, za pod jednostronnym kątem politycznym zmiany panującego dworu i jego klienteli. Tylko politycznej rewolucji dokonują się w miesiąc. Techniczno-przemysłowa rewolucja Anglii i Ameryki trwała szereg pokoleń. Całe pokolenie trwa już techniczno-przemysłowa „rewolucja” w Związku Radzieckim. Rewolucja polityczna ma trwałe znaczenie, jeżeli zapoczątkowuje konstrukcyjne prace całych pokoleń. Z tego punktu widzenia w ocenie rzeczywistości polskiej nie należy lekceważyć faktu, że wielka rewolucja techniczno-przemysłowa, która zachodnie kraje przeszły w XIX w. Polskę zaledwie musnęła swoim podmuchem. I wskutek tego nasza inteligencja ukształtowana na marginesie tego olbrzymiego procesu, zbyt łatwo subiektywne odczucia bierze za obiektywne zjawiska. Rewolucję w subiektywnym świecie swoich szlacheckich dążeń i ideałów traktuje jako zjawisko z obiektywnego świata rzeczy.

IDEOLOGICZNE ZRÓŻNICOWANIE INTELEGENCJI:

Popławski, Krzywicki, Dmowski.

Nie dysponujemy szczegółowym opracowaniem procesu kształtowania się inteligencji polskiej. W broszurze osobno drukowanej p. t. „Społeczna genealogia inteligencji polskiej” poświęcam niektórym zagadnieniom więcej miejsca, ale i tam chodzi o wyświetlenie socjologicznego problemu inteligencji, a nie o jej szczegółową historię społeczną. Wobec braku takiej historii musimy operować przykładami. Sięgamy więc do przykładów.

Oto Jan Ludwik Popławski, typowy emigrant dworu ziemiańskiego, założyciel i pierwszy redaktor „Głosu” założonego w Warszawie w 1886 r. „Urodził się w Lubelskim we wsi Bystrzejowicach, 17 stycznia 1854 r., tam też się chował w dzieciństwie. Kolebką jego był też szlachecki dwór wiejski. Dziad jego Jan Popław-

ski gospodarzył na dobrach znacznie większych niż ojciec. Należało do niego Uchanie, które potem zamienił na Bystrzejowice i Kawęczyn. Syn Wiktor, ożeniony z Ludwiką Ponikowską, pozostawił trzech synów Lucjana, Jana i Władysława oraz córkę Matyldę. Dzieci te majątku już żadnego nie odziedziczyły. Zdołały zaledwie wychować się na wsi w tradycji dworu wiejskiego, a nawet w zbytkach. W chwili gdy miały właśnie wejść w życie, ojca spotkała zupełna ruina majątkowa. Pozostawione swemu losowi, dobiły się stanowisk prawem proletariackim”. (J. L. Popławski: Pisma polityczne, str. 7 — 8).

Jaka ideologia zrodziła się na tej ruinie ziemiańskiego dworu? Bardzo charakterystyczna ideologia „Głosu” w początkach jego egzystencji, nie jest „typowa” dla robotników szlacheckiego dworu. Jest to ideologia chłopskiej kultury narodowej. Odrębności chłopskiej i pańskiej kultury przedstawia „Głos” w szeregu redakcyjnych artykułów, pióra J. L. Popławskiego w cyklu „Pański klerykalizm a wiara ludowa” (1886) oraz „Pańskie i chłopskie potrzeby umysłowe” (1886). W artykułach tych redakcja przeciwstawia klerykalną, kosmopolityczną, antynarodową, luksusową i artystystyczną kulturę pańską — rodzimę, swojską ludowo-narodową kulturę chłopską.

Inny interesujący przykład to Ludwik Krzywicki. Ludwik Krzywicki, ur 1859 r., to również zubożały emigrant dworu ziemiańskiego. Ilustruje on robotnicze niechłopskie skrzydło ludowej ideologii inteligencji. Poza tym jest bardzo interesujący jako przykład przejścia od amatorsko-dyletanckiej do zawodowej pracy umysłowej. Ojciec Krzywickiego, zamożny ziemianin z pokolenia przed powstaniem styczniowym (zmarł 1861 r.), człowiek bardzo utalentowany i wszechstronny, romantyk i marzyciel o wielkich aspiracjach, męczący się szaryzną codziennego życia — pozostał tylko umysłowym dyletantem. Syn jego Ludwik — był publicystą i pisarzem zawodowym.

I wreszcie Roman Dmowski. „Przodkowie Dmowskiego — pisze J. Giertych — wydzwignęli się ze sfery drobnoszlacheckiej na wyższy szczebel. Dziad Dmowskiego był człowiekiem zamożnym. Dzierżał on, jeśli mnie pamięć nie myli, cały klucz folwarkowy, gdzieś na Podlasiu.

Wojska Napoleona w czasie moskiewskiej wyprawy dwukrotnie się przez te folwarki przespacerowały. Wystarczyło to, aby Dmowski zrujnować. Dziad Dmowskiego bronil się przed bankructwem jeszcze przez czas dłuższy, — ale w końcu został wysadzony z siódła. Wkrótce potem umarł. Rodzina jego znalazła się na warszawskim bruku bez środków do życia. Składała się z wdowy chorej i niezdolnej do pracy, oraz z licznej orszadki dzieci, z których najstarszym był Walenty, ojciec Romana, mający wówczas, jeśli mnie pamięć nie myli, lat trzynaście. Na jego głowę spadała troska zabezpieczenia matki i rodzeństwa przed śmiercią głodową.

Zabrał się do pracy. Do tej pracy, którą udało mu się znaleźć: do tłuczenia kamieni na drodze. Z pracą tą nie został się już potem nigdy. Z czasem został majstrem brukarskim. Roman Dmowski nieraz mówił z dumą, że Ojciec jego uchodził za najlepszego w całym Królestwie majstra, podejmującego się brukowanie ulic. Wykonane przez niego roboty przechowały się tu i ówdzie aż dotąd, tak były solidne”. (J. Giertych: Wspomnienia o Romanie Dmowskim, „Warszawskie Dzienniki Narodowe”, Warszawa 23 I, 1939 r. str. 1).

Trzy sylwetki inteligencji i trzy orientacje ideologiczne: chłopską (biore Popławskiego z początkowej fazy „Głosu”), robotniczą i mieszczańską. Wszystkie, przynajmniej w linii męskiej wiodą się z pnia szlacheckiego i wszystkie charakteryzujące przez wspólną tendencję poszukiwania dróg wyjścia z izolacji inteligentnego getta. Wszyscy trzej należeli do tej kategorii, którą p. Litwin nazywa „zbiorem” ideologami podstawowych klas społecznych”.

Przedstawione sylwetki ideologiczne nie interesują nas na tym miejscu „same w sobie”. Z punktu widzenia socjologicznego są one symptomatyczne dla sytuacji całej inteligencji jako warstwy. Mimo ideologicznie różnych kierunków podążają one wspólną tendencją wyjścia poza inteligencję szlachecką, poza swoją kastę”. Zaznaczone tu tendencje ideologiczne były wyrazem reakcji wybitnych indywidualności przeciwko „kastowości” inteligencji. „Inteligencja... — czytamy w „Atheneum” w lutym 1893 r. — nie tylko utraciła związek z całością społeczeństwa, nie tyl-

*) Por. „Kuźnica” Nr. 4, 12, 19, 20 z artykułami J. Chałasińskiego, K. W. Zawodzińskiego, A. Litwina, Spectatora i J. Chałasińskiego.

ko przestąpiła się od niego dymem hawańskich cygar, ale zamknęła się w rodzaj kasty, która nazywa się „towarzystwem”, kasty wprawdzie nie ściśle zamkniętej i nie dziedzicznej... ale bądź co bądź kasty, posiadającej swoje odrębne od całego ogółu egoistyczne interesy, chciwie ich pilnującej... widzimy w tej gromadzie społecznej tendencje wprost wrogi interesom umysłowym społeczeństwa, a skierowane ku zachowaniu wyodrębnionego, uprzywilejowanego stanowiska tych, którzy potrafili je w ten lub ów sposób zająć... granica pomiędzy inteligencją a innymi uprzywilejowanymi klasami społeczeństwa zaciera się prawie zupełnie... Pojęcie „inteligencji” i „towarzystwa” zlewa się w jedno... inteligencja, za traciwszy zmysł obowiązków swoich względem społeczeństwa, zachowała tylko pragnienie utrzymania przywilejów... gorliwie powstaje ona przeciwko wszystkiemu, co zagraża uszczupleniem tych przywilejów, jak znówuż z drugiej strony poczuwa się do solidarności z wszystkimi, którzy, dzięki jakimkolwiek bądź innym przyczynom, mają uprzywilejowane stanowisko w społeczeństwie”. (W. M. Kozłowski: Z hasel umysłowości współczesnej, Kraków 1902. Czy mamy inteligencję? str. 47 — 52).

... Tworzymy świat oddzielny, oderwany od ogromu wszechzycia, zamknięty w sobie... — białda Płoszowski w „Bez dogmatu” Sienkiewicza — „Do tego oderwanego świata należą mniej lub więcej wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę... to wszystko nie tkwi w samej miarodajności życia, ale się z niego wydziela, odrywa i tworzy osobne koła...”

Przeciwko temu zamkniętemu światu buntował się nie jeden inteligent. Ale stworzenie stałych ośrodków intelektualnego współzycia mas i inteligencji, tworzenie nowych instytucji wiążących w sposób trwały inteligencję i masy ludowe, dokonywało się bardzo powoli. 52 rok wydawnictwa „Robotnika” wskazuje na ciągły, nurt robotniczo - socjalistyczny zasilany obficie przez zbuntowany element szlachecko - inteligentki. Ale obok tego losy „Głosu” są niemiłą symptomatyczne.

Czy nie jest zastanawiające, że w „Myśli Narodowej” która wywodzi swój rodowód od radykalnego „Głosu” J. L. Popławskiego, doczekała się regeneracji szlachecko ideologicznej stańczyków krakowskich. J. L. Popławski w „Głosie”, Roman Dmowski w „Myślach nowoczesnego Polaka” i w „Upadku myśli konserwatywnej w Polsce” występowali ostro i namiętnie przeciw konserwatywnemu szlachecko - ziemianstwu „stańczyków” galicyjskich. W reakcji przeciwko nim i socjalizmowi powstała w końcu stulecia (1897 r.) „endecja” Narodowa Demokracja, późniejszy związek ludowo - narodowy z Dmowskim na czele. I oto w 40 lat od zawiązania tego stronnictwa na łamach jego naczelnego organu kulturalnego „Myśli Narodowej” występuje wyraźnie odstępowanie od antyszlacheckiej filozofii społecznej twórcy stronnictwa Romana Dmowskiego i coraz większe skłanianie się ku szlacheckiej ideologii reprezentowanej przez Stańczyków.

W polemice, jaka wywiązała się swego czasu pomiędzy Radkiem a Stawarem, Stawar zwrócił słusznie uwagę na zasadniczy rys struktury inteligencji polskiej w okresie wszystkich naszych powstań. Rys ten polegał na tym, że mimo tendencji do wyemancypowania się, inteligencja, na skutek swojej struktury, którą ją bym nazwał strukturą kraju kolonialnego, była skazana na oparcie się o szlachtę.

„Motorem przemian społecznych na Zachodzie był gospodarczy interes burżuazji — w Polsce taki radykalny inteligent nie miał oparcia społeczno. Klientury indywidualnej w Polsce XIX w. nie było, ale można powiedzieć, że inteligent początków XIX w. pośrednio musiał być klientem szlachty wziętej jako całość”. (Andrzej Stawar: Rady Radka, czyli tradycjonalizm nowego nabożeństwa, „Wiadomości Literackie” 16 grudnia 1934 r. str. 2).

Na tym właśnie rysie polega istota „monolitu” inteligencji. Poza ten „monolit” trudno było wyjść nie dlatego, aby Popławscy, Krzywicy, Dmowsy nie mieli chęci do tego, lecz dlatego, że byli bezsilni wobec wiązań społecznej struktury narodu. „Cokolwiek powiemy o ich subiektywnym nastawieniu — pisze Stawar o radykalnej inteligencji — ci inteligenci, jak chce Radek „raznożyńcy” polscy, poza te stosunki nie wyszli — gdy nie działali po linii szlacheckiej skazani byli na bezsilność”. (A. Stawar: Tamże).

Dla przełamania tej struktury trzeba było polskiego mieszczaństwa i tych wszystkich procesów emancypacji społecznej i ekonomicznej mas ludowych, jakie na Zachodzie przyniósł kapitalizm. Tego polskiego mieszczaństwa nie było. Wszystkie, co w Litwin pisze o „sile i historycznej roli polskiego mieszczaństwa i jego inteligencji” to jest legenda. Twierdzenie p. Lit-

wna, że „mamy poza sobą drugi etap rozwoju polskiej kultury — kultury mieszczańskiej”, jest chyba tylko w tym sensie prawdziwe, że rzeczywiście kultura mieszczańska była poza nami a nie u nas. Polska nie miała bowiem nigdy okresu hegemonii polskiego mieszczaństwa i kultury mieszczaństwa. Teza o sile polskiego mieszczaństwa oparta jest na teorii przeniesionej bezkrytycznie na stosunki polskie z historii Zachodu.

Szamotanie ideologiczne postępowych odłamów inteligencji, takie miały, właśnie podłoże, że dobre chęci szukały wyjścia poza sferę „arystokracji” a struktura społeczna na to nie pozwalała.

Do wojny dwór szlachecko - ziemiański jako duchowe oparcie inteligencji rywalizował skutecznie ze wszystkimi innymi ośrodkami. Słusznie pisze Spectator, że „na Zachodzie upadek wpływów arystokracji i szlachty odbywał się pod znakiem wzrostu burżuazji... Upadek szlachty i upadek burżuazji wielokapitałistycznej (powie-działbym obcego kapitału) u nas się zbiegają”.

SZLACHTA W IDEOLOGII „ENDECKIEJ”

Dla kształtowania się ideologicznych kierunków polskiej inteligencji i dla ich ewolucji bardzo symptomatyczne znaczenie ma ewolucja „endecji”. Wład. Studnicki, pragnąc wypuklić rolę Dmowskiego jako ideologa drobnomieszczańskiej koncepcji narodu polskiego podkreśla złośliwie, że Dmowski pochodzi z Pragi. Przecistawiając Pragę Warszawie, Studnicki pisze: „Praga nie ma pamięci historycznej, z tej sfery... która nie ma pamięci historycznej wyrósł Roman Dmowski”. (Wł. Studnicki: Ludzie, idee, czyny, str. 101). Interesujące powiedzenie, którego nie należy brać zbyt poważnie. Tak samo jak nie należy zbyt poważnie traktować „mieszczańskiego” czy „drobnomieszczańskiego” charakteru polskiej endecji. Z pewnością rola elementów drobnomieszczańskich w tym ruchu nie była większa niż ziemianstwa polskiego.

W każdym zaś razie powiązanie drobnomieszczaństwa i ziemianstwa, sementowanego w jeden obóz pod patronatem ambony, jest bardzo charakterystycznym rysem nie tylko dla endecji, ale dla socjologicznej typologii partii politycznych w Polsce w ogóle.

Jest rok 1935. Od wystąpienia Popławskiego w „Głosie” na temat „Pańskiej i chłopskiej cywilizacji” minęło prawie dwa pokolenia. W „Myśli Narodowej” warszawskim „tygodniku poświęconym kulturze twórczości polskiej”, wychodzącym pod redakcją Zygmunta Wasilewskiego występuje znowu ten sam problem chłopskiej i pańskiej kultury polskiej. „Myśl Narodowa”, pismo zrodzone z ideowego potomstwa J. L. Popławskiego, R. Dmowskiego i innych ideologów ruchu wszechpolskiego i związku ludowo - narodowego zabiera głos w znowu rozgorzałej walce na temat chłopskiej i szlacheckiej Polski. Obecnie „myśl narodowa” inteligencji, sytej zwycięstwa sprawy polskiej, nie ma już nic wspólnego ani z ludowymi fantasmagoriami romantyków, ani z „chłopomanstwem” młodocianego „Głosu” warszawskiego. Zgodnie ze szlachecką tradycją nie widzi innej jak tylko Polska szlachecka, wsparta o społeczno - kulturalny autorytet dworu.

W naczelnym artykule, z dnia 28.4. 1935 r. p.t. „Ziemianstwo” czytamy: „Streszczając w paru słowach bieg społecznej historii Polski od czasów stanisławowskich począwszy, można śmiało powiedzieć, że przedstawiała się ona jako równoczesne odszlachcanie i uszlachcanie Polski. Odszlachcano ją, wprowadzając w jej życie, coraz to nowsze i świeższe warstwy — uszlachcano przez nadawanie tym warstwom dominującego szlacheckiego pokostu. Biegły więc w tym procesie niejako warstwy historyczne i niehistoryczne sobie na spotkanie, by złączywszy się wytworzyć jakąś nową, a ściślej: odnowioną, by wobec siły elementu szlacheckiego — Polska została szlachecka, a tylko jej szlacheckość się zmieniła”. (Karol Stefan Frycz. Ziemianstwo. „Myśl Narodowa”, Warszawa, 28.4. 1935 r. str. 257).

W innym artykule naczelnym tegoż pisma z dnia 27.10. 1935 r. p.t. „Wiejskie problemy” czytamy znowu:

„Zapomina się o tym, że chłop zawsze będzie tylko źródłem sił narodowych, ale źródłem biernym, wymagającym kierownictwa i opieki. Chłop może zasilać warstwy inteligentne, ten mózg narodu, tak jak je zresztą zawsze zasilał, ale sam nigdy kierownictwa nie obejmie, bo wtedy przestałby być chłopem. I dlatego też sprawa wsi, to przede wszystkim sprawa kierownictwa, a więc tak czy owak dworu... Nie po to jesteśmy narodem historycznym, by świadomie redukować się do chłopskiej masy i świeżej ludowej inteligencji, takie uciekanie w etnos zaczęło

by tylko naszemu etosowi, na który się składały wieki... szukać sukcesora nie potrzeba, bo dwór tak jak i ksiądz swe dawne stanowisko odzyskać powinien i ma jeszcze siły po temu”. (Karol St. Frycz: Wiejskie problemy, „Myśl Narodowa”, Warszawa, 27.10. 1935 r., str. 669 — 671).

„Nasza kulturalna elita — czytamy znowu w tym samym piśmie w dwa lata później — winna się rozwijać wciąż w typie gentry, czyli w typie szlacheckim, bo jedynie taki typ może być prawym dziedzicem naszej kultury”. (K. St. Frycz: Na widowni, „Myśl Narodowa”, Warszawa, 11.4. 1937 r., str. 234).

„Krótko mówiąc: o obliczu Polski jutrzejszej... zadecydują przede wszystkim potomkowie jej warstw historycznych — a więc w pierwszej linii ziemianstwo i gentry”. (K. S. Frycz: W dziale od redakcji, „Na widowni”, „Myśl Narodowa”, Warszawa, 10.10. 1937 r., str. 645).

„Trzeba... oprzeć się na stanowości... Trzeba... sięgając do samych źródeł sprawiedliwości, uszanować wszelką różność i budować przysługującą Polsce jako państwu — w ten czy w inny sposób — stanowę... Gdy... etos jest zanadto odświeżony i jakby najechany przez elementy z etnosu to... ci nowi, obniżają poziom drugich i w rezultacie mamy ogólne obniżanie się poziomu — „schamienie...”. (K. S. Frycz: O etosie i etnosie, „Myśl Narodowa”, Warszawa, 5.4. 1936 r., str. 227).

„Ma... krew pańska niewątpliwie walor... Panowie muszą być zawsze...”. (K. S. Frycz: O etosie i etnosie, „Myśl Narodowa”, Warszawa, 5.4. 1936 r., str. 225).

Równocześnie w „Myśli Narodowej” ukażwały się artykuły wskazujące, że szlachecka inteligencja Polski to jest naprawdę rasa panów — odrębny jakościowo wyższy antropologiczny gatunek człowieka Prof. Jaxa-Bykowski, przedstawiając wynik swoich badań antropologicznych wśród młodzieży gimnazjalnej pisał w „Myśli Narodowej” w 1934: „Wszędzie widzimy silną przewagę typu sarmackiego... Typ ten, jak ongiś wśród gmin szlacheckich, tak dziś przeważa wśród naszej inteligencji, on też głównie daje podstawę dla ogólnej charakterystyki Polaków...”

Znowu inaczej typ presłowiański. Mimo wcale szerokiego zasięgu i obfitości, zwłaszcza wśród proletariatu, w gimnazjach występuje dość skąpo, co więcej cofa się w miarę postępu klas. Pozostaje to w związku z mniejszymi uoddolnieniami intelektualnymi, więc też nielicznie będzie on reprezentowany wśród inteligencji. Natomiast z powodu znacznej wytrzymałości, siły i wytrwałości dużo tego żywiołu wśród robotników fizycznych, więcej go też, jak przekonałem się w szkołach zawodowych i dokształcających”. (L. Jaxa-Bykowski: Zagadnienie ras w szkole polskiej, „Myśl Narodowa”, Warszawa, dn. 19. 8. 43 r., str. 511 — 512).

Na tej drodze mit szlacheckiej kultury polskiej i szlacheckiego charakteru inteligencji polskiej znalazł „naukowe” uzasadnienie. Według tej teorii kultura polska jest szlachecka, gdyż szlachta reprezentuje w narodzie żywioł o największych wrodzonych zdolnościach, żywioł przez naturę, przez Boga powołany do tworzenia kultury. Przecież już Trentowski (w „Wizerunkach duszy narodowej”, 1847 r., str. 385 — 389) pisał, że szlachta polska to „kwiat ziemi polskiej, szczyt ducha polskiego”, „część europejskiej ludności najprześlicniejsza, najczystsza, szczerze religijno - etyczne i polityczne zło”. W „Myśli Narodowej” zamiast „kwiat ziemi polskiej” i „szczerze religijno - etyczne zło to”, pisało się bardziej „naukowo”, w duchu czasu — najwyżej uzdolniony typ sarmacki. Ale sens pozostał ten sam.

Szlachta — inteligencja polska zgrupowana przy „Myśli Narodowej”, na łamach tego pisma broniła ciągłości szlacheckiej kultury, rewindykując prawa „krwi pańskiej” — etosu do określenia kierunku przyszłości Polski. Równocześnie, piórem naczelnego redaktora i innych swoich publicystów piętnowała ruch chłopski za jego stanowco - klasowe tendencje, za to, że chłop nie stawał „frontem do narodu”, — narodu szlacheckiego, w którym chłopci stanowią jedynie „rezerwat sił biologicznych”.

W ideologii „Myśli Narodowej” szlachecka, inteligentna rasa panów, pojmowana była jako kapłańska straż ducha narodu polskiego a naród jako duchowy kościół, oparty o mistyczną religijną istotę narodu.

„Kto ma pojęcie o duchu narodowym — pisał „Przegląd Wszechpolski”, — kto wi-

Patrz interesujący z tego punktu widzenia artykuł redaktora naczelnego Z. Wasilewskiego, w dziale „Na widowni” na temat Janki Bojki, „Myśl Narodowa”, Warszawa, 29. 36 r., str. 330 i nast.

Z. Wasilewski: Na widowni, „Myśl Narodowa”, Warszawa, 8.3. 37 r. str. 503. Są to uwagi pisane na marginesie „ludowego” programu pisma „Marchol”.

dzi jego nieustanny pęd do rozszerzania się, jego napór na wszystkie sfery życia, ten czuć musi pewien strach, mistyczny przed tą olbrzymią istotą, której na imię Naród, strach podobny temu, jaki czuli starożytni przed owym Sfinksem, który zadawał zagadkę i pożerał tego, kto jej nie odgadł”. (K. Hrabyk: Ideologia Przeglądu Wszechpolskiego 1895 — 1905, str. 49 „Przegląd Wszechpolski”, 1900 r., str. 206).

Ta straż kapłańska „Sfinksa”, Króla Ducha polskiego, czuła się powołana do kierowania losami narodu i przemawiała do niego słowami mistycyzmu nie tylko starożytnego Wasilewskiego, lecz i młodego Giertycha, czołowego publicysty tego obozu.

„Polska narodowa — pisał Giertych w książce „O wyjściu z kryzysu” w 1938 r. to będzie zarazem Polska jakby na nowo urodzona. Polska tak świeża, tak młoda, tak przeczysta, a zarazem tak pełna właściwego sobie odwiecznego piętna, jak cudny kwiat, rozkwitły o świcie, obmyty poranną rosą, nieskalanie czysty i młody, a zarazem pełny pradawnej, skończonyj piękności i woni, właściwej jego rasie”. (J. Giertych: O wyjściu z kryzysu, str. 210).

„Możemy zupełnie bez przesady i bez samochwalstwa powiedzieć, że mamy po swej stronie większą część narodu. I to część najlepszą, najrozumniejszą, najoświeceniszą, najczystsą, najszlachetniejszą, najgoręcej kochającą Ojczyznę, najmocniejszą mającą obyczaje, pod względem pojęć i poglądów najbardziej europejską, zachodnią, łacińską.”

Jesteśmy obozem, który nie tylko może Polskę rządzić, ale którego rządy są po prostu koniecznością — naturalną i oczywistą. Bo my właśnie jesteśmy Polską — jesteśmy tym, co w narodzie polskim jest najbardziej rdzenne, najbardziej rodowite, najlepiej odpowiadające instynktownym a najszlachetniejszym odruchom najszerszych mas, najbardziej osiadłe, zróżnicowane z tysiącletnią naszą narodową dawnością, najbardziej po prostu polskie.

Oto jest najbardziej zasadnicze określenie naszego miejsca w narodzie: jesteśmy prawowitymi reprezentantami jego najistotniejszych uczuć i dążeń — jesteśmy skryształizowaniem w formie myśli politycznej i politycznej organizacji tego, co w nim jest najbardziej narodowe.

Nie idziemy po władzę jako uzurpatorzy — jako zastęp nowoczesnych Wargów, traktujących podbój wielkiego kraju i wielkiego narodu, jako cel sam w sobie, — ale idziemy po nią jako po to, co się nam należy. Należy nie tyle jako nasze własne prawo, co jako nieodzowny warunek wywiązania się przez nas z obowiązku na nas — właśnie na nas, a nie na kim innym ciężącego”. (J. Giertych: O wyjściu z kryzysu, str. 71 — 72).

Zatrzymałem się dłużej na szlachecko - inteligentnej ideologii „endecji”, pragnąc zwrócić uwagę na to, że ten rys ideologii endeckiej staje się zrozumiałym w związku z kształtowaniem się inteligencji, jako spadkobierczyni szlachty i jako rodzaj nowej szlachty traktującej się jako jedyną wyrazicielkę całości ducha narodu.

Nie zatrzymuję się nad fazami ewolucji tego kierunku i nad indywidualnymi odchyleniami ideologów endecji. Pomiedzy chłopomańską ideologią Popławskiego z początkowej fazy „Głosu”, a Zygmuntem Wasilewskim z „Myśli Narodowej” zachodzi różnica. Podobnie osobne miejsce zajmuje Stanisław Szczepanowski ze swoim antyklerykalizmem.

Nie lekceważę również interesów ekonomicznych różnych odłamów ludności, która uważała się za związaną z tym ruchem. Niewątpliwie do tego obozu lgnęło zarówno dużo ziemianstwa, jak i drobnomieszczaństwa. Nie wydaje mi się jednak możliwe zrozumienie szlachecko - inteligentnej ideologii „endecji”, nie biorąc pod uwagę faktu, że rozwinęła się ona na podłożu swoistej struktury inteligencji polskiej, jako arystokratycznej samoistnej warstwy dominującej, ukształtowanej w procesie przeobrażenia warstwy szlacheckiej.

Nie potrafiłbym zrozumieć przedstawionych tu rysów ideologii endecji, gdybym miał traktować endecję jako twór „inteligencji mieszczaństwa”, o której pisze p. Litwin. Chcąc zilustrować na przykładzie endecji, wartość mojej tezy, nie zamierzam dać wszechstronnej analizy endecji, jako ruchu politycznego i prądu ideologicznego. Nie zajmowałem się również wkładem, jaki pod względem ideologii tego ruchu wniosło mieszczaństwo. Wśród mieszczaństwa Poznańskiego i Pomorza endecja miała bardzo silne oparcie. W analizie tego rodzaju nie można by przecież także pominąć ani oparcia o kościół, ani roli antysemityzmu.

Analiza endecji pod kątem widzenia jej „mieszczańskości” byłaby bardzo pou-

czająca. Ale uogólnienia, według których „inteligencja mieszczańska”, „piód stęchłej atmosfery kompromisu mieszczaństwa ze średniowieczem” z jednej strony cechuje „filisterstwo, kołtuństwo, tchórzostwo myśli i czynu, ograniczoność, niezdolność do śmielszej inicjatywy”, a z drugiej — „rzeczowość, bezpryncypialność, żywiołowość, i umiejętność liberała przystosowania się do każdej sytuacji, giętkość i kupiecka przewrotność” na nic się przydad nie mogą do zrozumienia historii społecznej.

Charakterystyka klas społecznych przeprowadzana w terminach psychologii indywidualnej czy indywidualnych kwalifikacji moralnych — jak filisterstwo, kołtuństwo, przewrotność i t.p. — jest w ogóle z góry skazana na niepowodzenie.

Klasy i w ogóle grupy społeczne jako całości należy charakteryzować z punktu widzenia socjologicznego, w odniesieniu do ich funkcji społecznej i do miejsca jakie zajmują w ramach rozleglejszych społeczności (jak np. naród) w stosunku do innych grup.

ENDECJA I SANACJA.

Teza moja nie zmierza ani do symplifikacji naszej historii społecznej XIX i XX wieku, ani do pomniejszenia znaczenia, jakiegokolwiek czynnika, który ją kształtował. Chodzi w niej o określenie właściwego i swojszego miejsca i roli inteligencji w naszej historii społecznej XIX i XX. Twierdząc, że swojszym rysem historii społecznej Polski XIX i XX w. różniącym nasze stosunki od stosunków na Zachodzie jest istnienie osobnej samostajnej warstwy inteligencji. Nie jest to ani inteligencja mieszczańska, ani inteligencja innej jakiejś klasy społecznej, ale inteligencja jako samostajna warstwa, historycznie pochodząca od szlachty. Ten rys naszej historii społecznej należy mieć na uwadze, zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o analizę prądów ideologicznych.

Zwracając uwagę na ten moment w związku ze szlachecko-inteligencją ideologią endecji, nie twierdząc, że endecja to jedyna inteligencja partia. Wprost przeciwnie. Cechą polskich stosunków w okresie 1918 — 1939 była nie tylko duża ilość partii, lecz także i to, że najważniejsze ruchy polityczne, które nadały piętno temu okresowi, nosiły charakter inteligencji. Przez cały ten okres toczyła się walka pomiędzy dwoma inteligencjami: endecją i legionistami. Do maja na arenie politycznej górowała endecja, po zamachu majowym — obóz legionowy, sanacja.

Obydwa te konkurencyjne obozy, wyrosłe z tej samej gleby — inteligencji, jako jedyną warstwę reprezentującą całość narodu, pod względem społecznej ideologii posiadały bardzo zbliżony do siebie szlachecko-inteligencji charakter. Przywódca BBWR, pułk. Sławek mówił w klubie BBWR w 1928 r.:

„Tak samo w całej Polsce, jak w całym świecie kulturalnym europejskim były dwie warstwy ludzi — jedna stojąca kulturalnie wysoko — warstwa rządząca, druga — robotnicy i chłopci, stojący na niskim poziomie, ciemni i za mało rozgarnięci, aby brać udział w życiu publicznym. Owcześnie warunki ustroju społecznego i politycznego były powodem takiego układu stosunków.

W Polsce widzimy, znany, bardzo charakterystyczny objaw tendencji demokratycznej, przejawiający się w życiu tak zwanej demokracji szlacheckiej. Od dawna istniała w Polsce tendencja nadawania szlachectwa, a zatem przyjmowania do sfery politycznej tych którzy swoimi zasługami, swoim życiem, do pewnego poziomu potrafili się podciągnąć. Była to charakterystyczna cecha demokracji z tendencją równania ku górze, tendencja podciągania jednostek z warstw niższych ku życiu obywatelskiemu... To, co ogólnie nazywano prądem demokratycznym o wyraźnie polskim charakterze, jest to prąd podciągania ku wyższym wartościom życia”. (Jan Starzewski: „W walce o nową Polskę”, str. 15 — 16).

W dwa lata później na Zjeździe Legionistów w Radomiu Sławek rozwijał dalej zasady tej filozofii w tym samym duchu.

„Spójrzmy w bardziej odległą przeszłość naszej ojczyzny. Zobaczymy, jak w ciągłych walkach o obronę państwa hartowało się i rosło rycerstwo, jak wybijały się najteższe jednostki, jak nad poziom przeciętny wyrastały nazwiska historyczne.

Z zasług rycerskich wywodziła się szlachta. Mogła ona w oparciu o swój dobrobyt przez długie pokolenia przekazywać tradycję przodków — rycerzy, mogła wzbogacać swoją kulturę i cywilizację, mogła utrzymywać w swoich rękach decydującą rolę w Rzeczypospolitej.

Lepszą jej część znamionowały, dwie podstawowe wartości:

Po pierwsze — w rycerskiej atmosferze wyrosła rycerska moralność — poczucie honoru, ambicja państwowa i żądza sławy. To, co w naszej przeszłości było wielkie, tymi wartościami było ożywione i z nich obowiązuje nakazy stwarzało.

Wartości te zachowały swoją treść i po dzień dzisiejszy. Nie dla obliczonego interesu, czy się oplaci, lecz dla honoru osobistego, związanego z poczuciem godności narodu, szły i ginęły pokolenia w walce o własną i narodu godność.

Drugą cechą, znamionującą naszą dawną przeszłość, było przyznawanie herbów i szlachectwa tym, którzy zasługami wojennymi z rycerstwem się zrównali — proces równania się ku górze, by ówczesnemu poczuciu równości stało się żądzą”. (J. Starzewski: Tamże, str. 19 — 20).

W oparciu o tę tradycję szlachecką obóz legionowy kształtował się świadomie w nową szlachtę. O tych ambicjach obozu legionowego pisał Władysław Grabski w „Ideji Polski” (1935 r.). „Jest to... ideologia stanowa, wyłączna, arystokratyczna, największym punktu przypisywanych sobie zasług wyrosła. Stare arystokracje temu nowemu zewowi wtórują, przed młodą roślinką same się uginają, bo czują pokrewną w niej duszę — duszę stanowej wyłączności”. (Wł. Grabski: Idea Polski, str. 62).

Zaczął się „renesans heraldyzmu”. „W porównaniu z czasami przedwojennymi — pisał K. L. Koniński w 1937 r. — czymś nowym jest to szerokie i żywe odnowienie ambicji szlacheckich w warstwie inteligencji i przybliżonych...” (K. L. Koniński: Renesans heraldyzmu, „Marchol” 1937 r. styczeń, str. 196).

Warto przy tym zauważyć, że w pojmowaniu zadań i charakteru tej elity szlacheckiej BBWR było bardzo bliskie „endecji”. Mieli to być „chorążowie etyki narodowej”, szlachecka straż nad „duszą” narodu polskiego. Nie zapominajmy, że BBWR określiło swoje zadania jako wychowawcze. Nie chodziło o reformy społeczno-ekonomiczne, ale o wychowanie społeczeństwa. Pierwszy ideolog majowej „rewolucji moralnej” Adam Skwarczyński, polonista z wykształcenia i nauczyciel gimnazjalny z zawodu, to był typowy inteligencji prometeista i bodajże ostatnie wcielenie inteligencji prometeizmu w Polsce z okresu dr Judy. Przekonany o ogromnej społecznej misji inteligencji we wskrzeszonym państwie polskim, zwywał inteligencję do spełnienia roli awangardy, straży przedniej narodu. Inteligencja miała objąć „moralny rząd dusz” w narodzie. Bo „w pracującym na swą potęgę narodzie — pisał Skwarczyński — potrzebna jest zorganizowana inicjatywa ku rozwojowi narodu dążąca i straż moralna spraw Dobra i Honoru pilnująca”. (A. Skwarczyński: Wskazania, str. 133). Moralny patos prometeistów kojarzył się z gotowymi wśród inteligencji aspiracjami do objęcia roli nowego szlachectwa.

W drodze od BBWR do OZN różne rzeczy uległy zmianie, ale szlachecko-arystokratyczne ambicje rządzącego obozu nie zmalowały.

Czołowy publicysta Obozu Zjednoczenia Narodowego (OZN) F. Goetel pisał w 1939 r. „Nie wiem w jakich czasach i okolicznościach powstała u nas legenda o wymierającej słabej „szlachetczyźnie” i „krzepakim”, odradzającym się chłopie... Nie piszę żadnych dytyrambów na cześć szlachetczyzny — ale trzeba powiedzieć sobie, że nie, ale to nic nie upoważnia nas do głoszenia zmięczenia polskiego szlachectwa. I nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że jakkolwiek stan w Polsce może już dziś zmienić naszą inteligencję, wywodzącą się ze szlachty, albo wychowaną w tradycjach szlacheckiej kultury...” (F. Goetel: Pod znakiem faszyzmu, str. 136 — 138).

Nie rozbieżność programów politycznych BBWR i OZN a endecji rzucają światło na zasadnicze rysy struktury społecznej Polski, lecz właśnie zbieżność, z jaką te konkurencyjne obozy wykazywały w poglądzie na zasadniczą rolę szlacheckiej inteligencji w Polsce.

Z czasem ścierało się ostrze antagonizmów między sanacją a endecją, a coraz wyraźniej zarysowywało się wspólne podłoże obydwóch ruchów — szlachecko-arystokratyczna warstwa inteligencji traktująca się za jedyną reprezentantkę całości narodu.

O co chodziło między tymi obozami? Czy nie był to spór dwóch ambitnych dwołów i ich klienteli? Z pewnością spór pomiędzy tymi obozami nie był wyrazem ścierania się interesów różnych klas społecznych. To był spór rodzinny, spór toczący się w obrębie „towarzystwa” inteligencji.

Czołowy teoretyk myśli państwowo-politycznej obozu sanacyjnego prof. Wł. Makowski w książce p.t. „My i wy” (1938 r.) w następujących słowach charakteryzował arenę życia politycznego:

„Istnieje, niczym w prowincjonalnej miejscinie, może nieco szersze, ale w istocie podobne koło znajomych: jak przy grze w bridge’a, coraz to jeden jako piąty wychodzi, a pozostali zmieniają miejsca. Rober polityczny będzie miał powiedzmy pięćdziesiąt, no może stu partnerów, wychodzić będzie więcej jak jeden, ale zasady przesiadania się i wychodzenia są bardzo podobne do bridge’owych.

Dopóki partner nie zasiadł do stolika ma on, jak się zdaje, związek z ogromem pozostałego świata, z wielkością jego problemów, ma on szerokie widnokręgi, które ogarnia wzrokiem pełnym przenikliwości. Z chwilą gdy wchodzi do gry, staje się partnerem, członkiem rodziny, wchodzi w zacieśnioną sferę partykularza.

Pomimo różnic programowych, różnic ideowych, osoby działające na tym samym terenie, mają wiele punktów stykowych, obcują ze sobą, przyzwyczajają się do siebie, poznają swoje zalety i wady, mają wspólne zwyczaje, wspólne nałogi, które są, jak wiadomo drugą naturą: ich wspólnie wypełnione walką jest w istocie wyolbrzymioną projekcją gry towarzyskiej. Partnerzy skaczą sobie do oczu, nie szczerzą gorzkich słów, ale bez siebie wzajem być by się nie mogli.

Partykularz polityczny zamyka oczy na ogrom świata, problemy, które na świecie mają treść niezmierną i skomplikowaną, tutaj znalazły swoje symboliczne formuły — niby asy, króle i miódki w kartach; — każdy wie co to są „honor” i „koronka”, kiedy można powiedzieć „contra” i z czego należy wychodzić jeżeli przeciwnik gra „bez atu”. (W. Makowski: My i wy, 1938, str. 104 — 106).

„My i wy”, endecja i sanacja, grały w bridge’a w szlachecko-inteligencji Polsce. Była to „wyolbrzymiona projekcja gry towarzyskiej” — pisał prof. Makowski. Więc jakże łatwo jest naród zjednoczyć. Pogodzić brzydystów niech zasiądą do wspólnego stolika i grają razem.

Była to znakomita „towarzyska” koncepcja polityki, której genealogia jest aż nadto przejrzysta. Ta „wyolbrzymiona projekcja” gry towarzyskiej jest szlacheckiego pochodzenia.

Nonsens kontynuowania antagonizmów stawał się wśród „klienteli” oczywisty po śmierci wodzów obydwu obozów — Piłsudskiego i Dmowskiego. „Dzisiaj sytuacja jest taka, że w jeszcze bardziej jaskrawej, niż dotąd, postaci stają naprzeciw siebie dwa nacjonalizmy — czytamy w książce Prof. Z. Wojciechowskiego p.t. „Pełnia racji ideowej podstawą zjednoczenia”. — Granica ideologiczna pomiędzy nimi zaciera się coraz bardziej, gdyż takie jest prawo życia” (str. 99).

Przeczytajcie bracia szlachta te książkę, a stanie się jasne, że naród polski można było bardzo prosto zjednoczyć. Do tego trzeba było tylko, abyście wy i my, sanacja i endecja stworzyli jedno stronnictwo i objęli władzę w Polsce, likwidując zupełnie wszystkie inne stronnictwa. Taka monopartia miałaby zawsze całkowitą rację. Bo „zażądanie nowej organizacji społeczeństwa — pisze prof. Wojciechowski — to zażądanie całkowitej racji grupy rządzącej”. (Z. Wojciechowski: Op. cit. str. 157). Jeden jest tylko zasadniczy warunek nieomyślności tej grupy rządzącej — to zupełne zlikwidowanie wszystkich innych partii. Gdy wszystkie partie ulegną likwidacji, to wtedy monopartia będzie

miała rację całkowitą, czyli pełnię racji. „Na dłuższą metę... egzystencja (partii) nie jest możliwa”. „...Tu chodzi o takie formy organizowania się narodu, które by pozwoliły mu realizować cele totalizmu polskości”. (str. 158).

„Życie polityczne — kontynuuje prof. Wojciechowski — pozornie tylko przedstawia się jako walka masy. W istocie są to konflikty zachodzące pomiędzy grupami elit. Gdy weźmiemy poszczególnie zespoły polityczne, na palcach będziemy mogli policzyć jednostki stanowiące kierownictwo ideowe i organizacyjne. Grupa taka wyrusza następnie na podbój masy narodowej...” (str. 115).

„Pełnia racji ideowej” czyli połączenie endecji i sanacji. Nie potrafię zrozumieć przedstawionych ewolucji endecji i sanacji, nie wiążąc ich z zasadniczym wspólnym podłożem obydwu ruchów. Podłożem tym jest historycznie ukształtowana samostajna warstwa inteligencji, odcięta od mas ludowych, traktująca się jako jedyna reprezentacja narodu jako całości — straż króla ducha Polski i jedyny wykładnik „totalizmu polskości”.

P. Litwin twierdzi, że każda z grup inteligencji ma nadto swoje odrębne tradycje — tradycje swoich klas”. W szczególności zarzuca mi P. Litwin, że nie doceniłem siły „inteligencji mieszczańskiej”. Na przykładzie endecji i sanacji starałem się wykazać, że rozumienie ideologicznych ewolucji tych dwóch kierunków, najbardziej charakterystycznych dla inteligencji polskiej w okresie międzywojennym osiąga się na innej płaszczyźnie. Nie widzę możliwości udowodnienia, że endecja i sanacja były ideologicznymi produktami inteligencji mieszczańskiej.

O ruchu socjalistycznym czy chłopskim trudno również powiedzieć, aby go robiła inteligencja klasy robotniczej i inteligencja klasy chłopskiej. Sytuacja pod tym względem zaczyna zmieniać się dopiero w ostatnich czasach. Teza P. Litwina, że w Polsce były inteligencje różnych klas społecznych a nie, jak ja twierdząc, jedna warstwa inteligencji i jej zbitnowane odpryski, nie da się udowodnić.

Nie mogę się również dopatrzeć w Polsce istnienia „nauki mieszczańskiej”. P. Litwin pisze, że „mieszczańska nauka historyczna i krytyka literacka, świadomie zamazywały wewnętrzne różniczkowanie polskiej inteligencji. Metoda ta miała na celu: — po pierwsze, zlekceważyć dorobek polskiego postępu; po wtóre przekreślić fakt powstawania wewnętrznych sił, które umożliwiłyby odrodzenie inteligencji; po trzecie, miała ułatwić próby przeciwstawienia inteligencji w całości nowym prądom i nowym siłom społecznym”. Sądzę, że niebezpieczeństwo, jakie może grozić nowym siłom społecznym ze strony nieistniejącej „nauki mieszczańskiej” nie jest chyba wielkie. P. Litwin nie docenia sił postępowej i radykalnej inteligencji polskiej. P. Litwin pisze, że „w szczególnym polskim klimacie „radykalizm” był bardzo możliwy, tchórzliwy, pokryty pewną powłoką bliżej nieokreślonego romantyzmu...”. Nie sądzą, aby polski radykalizm miał być aż tak tchórzliwy, aby się miał obawiać spisku nieistniejącej „nauki mieszczańskiej” przeciw sobie. Te twierdzenia i związane z nimi obawy wyjadają mi się „pokryte pewną powłoką bliżej nieokreślonego romantyzmu”.

Józef Chałasiński

Tuż się ukazał Nr 1 czasopisma naukowego:

„MYŚL WSPÓŁCZESNA”

Skład Komitetu Redakcyjnego: prof. dr Józef Chałasiński, dr Franciszek Fiedler, prof. dr Natalia Gąsiorowska - Grabowska, rektor dr Tadeusz Kotarbiński, dr Bronisław Krauze, prof. dr Adam Schaff, prof. dr Zygmunt Szymanowski, prof. dr Henryk Ułaszyn, przew. Komisji Oświat. KRN. Stefan Żółkiewski.

Treść numeru pierwszego:

- J. Chałasiński — Socjologiczne założenia reformy wychowania.
- T. Kotarbiński — Zasady dobrej roboty.
- B. Łapicki — Demokracja i jej wartość etyczna.
- Z. Szymanowski — Zagadka życia i odrodzenie samorodztwa.
- J. Konorski — W dziesiątą rocznicę śmierci Pawłowa. Kroniki, Recenzje.

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 86, tel. 254-20, wewn. 21.

Cena egzempl.: zł 55.—. Prenumerata kwartalna zł 150.—. Konto PKO VII—995 z zaznaczeniem Wyd. „Myśl Współczesna”.

JAN ALEKSANDER KRÓL

Jak górale stracili Zakopane

TWORCY MODY NA „GÓRALSZCZYZNĘ“

Nazwiska dobrze znane, jak dr Chałubiński, ks. Stolarczyka, Witkiewicza, Tetmajera, Nowickiego, Orkana przypominają początek dziejów Zakopanego, jako uzdrowiska krajowego i początek narodowej mody na góraliszczyznę.

Jest rzeczą znaną, że kiedy w 20 lat potem Witkiewicz u schyłku swego życia dokonał sumarycznego obrachunku z Zakopanem, obrachunek w ustach pioniera tej akcji wypadł bardzo pesymistycznie.

„Ani prof. Chałubiński” — pisał Witkiewicz — „ani ks. Stolarczyk, ani Sabala — nie mieliby tu co robić. Dwaj ostatni, ponieważ znikły zupełnie warunki, w których żyć i działać mogli, pierwszy zaś, ponieważ to, co się z Zakopanem stało, jest bezwzględnie innym, niż to, o czym mógł marzyć“.

Wprowadzenie góraliszczyzny i Zakopanego w życie narodu dokonane zostało nie przez samodzielny ruch chłopski, ale z inicjatywy entuzjastów ze środowiska inteligentkiego. Sprawa cała jest dziełem inteligencji szlacheckiej i mieszczkańskiej.

I to tej szczególnie grupy, która po pierwsze bardzo silnie zatraciła związek z macierzystymi środowiskami i wyobcowowała się z rzeczywistych procesów społecznych, tak klasy robotniczej jak mieszczkańskiej, które po przez „pracę organiczną” rozbudowywało w Polsce kapitalizm. Wyobcowowała się też z organicznej polityki ziemianstwa, mającej swój wykładnik w obozie Stańczykowskim.

Po drugie — grupę tę wypełnili w większości artyści i naukowcy, a więc ta część inteligencji, która z tytułu swego zawodu i zakresu działalności najbardziej mogła dziedziścić tradycję funkcji rzekomo ponad klasowych „zwierciadła i sumienia narodu” i ludzi się, jak Witkiewicz, że „Siłę narodu stanowi jego duch, on jest istotą jego życia i czynu“.

Po trzecie — zakres działalności tej grupy ułatwił jej wyłączenie się z innych form i rodzajów działalności społecznych i cywilizacyjnych, czynił ją mniej wrażliwą na wpływy nowych sił społecznych i nowych zadań, które wykraczały poza pielegnowanie kultury narodowej w granicach sztuki i filozofii idealistycznej.

Po czwarte wreszcie, — grupa ta w swej świadomości artystycznej i poznawczej nawiązała Tamizmem, ową pierwszą laicką, stworzoną na użytek rozumienia sztuki i zjawisk folklorystycznych, socjologią, z jej podziałem na klimat, środowisko i moment historyczny, w którym dominującymi czynnikami były jednak idealistycznie pojęta odrębność rasowa i etniczna.

DROGA „KAJAJĄCYCH SIĘ SZLACHCICÓW“

W zbliżeniu się do ludu góraliskiego, jakie podjął swego czasu Chałubiński, Witkiewicz, Nowicki i Tetmajer, było coś z gestu „kajającego się szlachcica”. W zapleczu społecznym tego gestu odnajdujemy szeroko rozbudowaną teorię samoschłastania szlachetczyzny, wytworzona przez pewną jej inteligentną grupę polityczną. Idzie to kądzie się tak daleko, że odrzuca „tysiącletnią tradycję i kulturę” swej warstwy i w momencie kiedy przyszłoby zawisnąć w próżni, rzuca się z wiarą i naiwnością w koncepcję odrodzenia narodu przez lud.

„Przekonał się” — pisał „Głos” w latach 1890 tych — „za późno niestety, że to wszystko baśnie, co nam prawiono o pokojowych, przemysłowych podbojach, bo rynki handlowe krwią i żelazem się zdobywa i krwią i żelazem się podtrzymuje“.

Krótko mówiąc, zwrot do ludu był tu wyrazem całkowitego odcięcia się od cywilizacji przemysłowej. Zawód powstał oczywiście pod wpływem rozczarowania, jakie wnosili niszczycielskie, społeczne tendencje rozwijającego się kapitalizmu, ale rozszerzył się na cały industrialny proces, w którym nieuniknione i potrzebne przecież było uspołecznienie sił produkcyjnych i rozwój cywilizacji technicznej.

Nasi artyści zawód ten przeżyli w całej rozciągłości. Dlatego ich konkretna akcja w Zakopanem i na góraliszczyznie jest echem tych konsekwencji, jakie bliskie im zaplecze polityczne sformułowało poprzez usta choćby Jana Popławskiego w tym samym „Głosie“.

„Znajdują się jeszcze ludzie” — pisał Popławski — „nawet ludzie uczeni, którzy nie chcą przyznać tego faktu, że lud posiada własną religię, własną moralność, własną politykę, więcej — własną naukę, słowem, kulturę własną, której czynniki składowe nie mogą być uważane jako niższe formy rozwoju odpowiednich kategorii kultury naszej“.

To stwierdzenie, że lud wiejski żyje nie dżiko i naturalnie, ale w wyraźnym systemie swoistej kultury — było arcysłuszne. Fa-

talne były natomiast wnioski, jakie „Głos” Popławskiego stąd wyciągnął.

Naczelnym zadaniem staje się dla tego ludowo-narodowego obozu podporządkowanie interesów warstw odrębnych — interesom ludu, powołanie go nie do takich form życia narodowego, jakie wytworzyła dogrywająca już w całej Europie cywilizacja „stanowa”, lecz do takich, do jakich dojść on może drogą przyrodniczego rozwoju zadań własnej kultury, drogą uświadomienia sobie własnych dążeń i kształcenia własnych swych ideałów“.

UBÓSTWIE NIE „KULTURY LUDOWEJ“

Taki jest właśnie punkt wyjścia St. Witkiewicza, kiedy ów malarz i pisarz staje przed 50 laty po raz pierwszy w obliczu tej części chłopstwa polskiego, której odrębność i oryginalność etniczna nie ma sobie równej w kraju. Góry, tryb życia pastersko-myśliwski, stroje, budownictwo, taniec, pieśń, obyczaj: zaczarowana kraina folkloru. Ten bogaty obraz „kultury ludowej” oszalał artystę i każe mu wypowiedzieć tezę, brzemienne w skutki społeczno-polityczne dla powstającego ruchu ludowego.

„Lud — głosi Witkiewicz — pójdzie jednak swoją drogą, którą mu wskazują... stopień i rodzaj kultury, którą lud już posiada, splot pewnych pojęć i pewnej obyczajności, która ma swoją odrębność“.

Innymi słowy, Witkiewicz uległ złudzeniu, że każda kultura ma możliwość nieskończonego rozwoju. W tym poglądzie wyraziła się idealistyczna beznadziejność rozumienia i przewidywania dziejów. Koncepcja Ducha, który jest dany narodowi i zawsze pojawia się choćby w ostatniej, najtragiczniejszej chwili była to, acz sugestywna, ale żenująco naiwna historiozofia. Nie liczyła się ona z rzeczywistymi czynnikami dziejów: przemianami systemów gospodarczych i walk klasowych. Ci kajający się szlachcice przekreślili własną „tysiącletnią tradycję” w przeświadczeniu chyba, że duch narodu objawi się teraz w ludzie. Ale nad kulturą szlachecką czas przechodzi do porządku nie za sprawą Ducha — ale na skutek nowych systemów gospodarczych, opartych na produkcji wielkoprzemysłowej i kapitalistycznym mieszczanstwie oraz rozwoju tych systemów w stopniu o wiele większym w Europie, systemów, które okazywały nas nie mogły i nie chciały zostać Polscy w izolacji. „Kultura ludowa”, której szczególnie piękny rezerwat poznał Witkiewicz, była niewątpliwie najbardziej starożytna, bo starsza od kapitalistycznej i feudalnej, sięgająca jeszcze czasów wędrowności ludów i wspólna góraliszczyznie bałkańskiej, skąd łukiem karpackim przywędrowała wówczas do nas. Ale też dlatego była formacją zanikową, rezerwatową, która o tyle późniejsze systemy kulturalne zachowywała, o ile nie dotarły do tych zakątków, albo też — wprzęgając ją w swoje interesy dla ubezpieczenia się od współzawodnictwa — zachowały celowo w tej współcześnie beznadziejnej formie.

Witkiewicz pisał: „Jak wytepieno „do korzenia” zbrojnika, tak samo zginiemy myśliwiec, ten najmędrzy i najciekawszy typ górala”. Jeśli najmędrzy i najmędrzy typ górala to myśliwiec — jaki więc z tego wniosek? Albo należałoby utrzymać życie górali w trybie myśliwskim, a chłopów z dołu w trybie rolniczym nad plugiem i całą resztę społeczeństwa polskiego wetrzeć w ten system ozdrowieńczego ducha narodu, albo — fantazjujemy — pozwolić rozwinąć się góralom do stanu jakiegoś nad-myślistwa, a chłopom nad-rolnictwa i taka Polska to by dopiero był naród, co się zowie, bo „rozstrzygającym czynnikiem życia zbiorowego” — jak pisał Witkiewicz — „nie są formy urzędów, instytucje, tylko stan dusz ludzkich danego społeczeństwa“.

Obie wymienione drogi, a płaczą się one wzajem u Witkiewicza, prowadzą na manowce. Bowiemy wolno inteligencji, dzięki jej wyrafinowaniu kulturalnemu, podziwiać góraliszczyznę, ale nie wolno oszukiwać siebie i innych, że powrót do tego stanu nie byłby regresem kulturalnym narodu i że mógłby się odbyć tylko za cenę utraty niepodległości, ponieważ być wolnym narodem, to znaczy, sprostać osiągnięciom cywilizacyjno-kulturalnym przodujących narodów.

To, co Witkiewicz oglądał, to była właśnie przeszłość historyczna, o tyle niezamiana, o ile nowe procesy gospodarcze i nowe apetyty rozstrzygających naówczas sił społecznych nie ujrzały w zmianie tego porządku swojego interesu. Witkiewicz był właśnie tym naiwnym ródzarkiem, który wskazał w górach interes nie Duchowi narodu, nie ludowi, ale — kapitalistom.

A wreszcie — „podporządkowanie interesów warstw odrębnych — interesom ludu” nie odbywa się w narodzie na drodze prostego zręczenia się jednych sił społecznych, a

przyjęcia przodownictwa przez inne. Nawet zamach polityczny nie wystarczy tu, o ile nowa siła społeczna nie potrafi przejąć tych osiągnięć cywilizacyjnych i kulturalnych po wytwórcach, po których chce wziąć spadek polityczny. Folklorizm góraliszczyzny zarówno w tradycyjnym porządku, jak i w jego rozwoju (jako przykład ludowego oblicza narodu) nie byłby w stanie ani sam wejść, ani włączyć w siebie narosłych systemów gospodarczych, ani wydzielić odpowiednich sił produkcyjnych i organizacyjnych.

Witkiewicz, zwątpiwszy w cywilizację przemysłową, rozminął się z nią w apologię ludu, w apologię góraliszczyzny, na szkodę ludu, na szkodę góraliszczyzny.

BŁĘDNE TEORIE MSZCZĄ SIĘ STRASZLIWIE!

Przyjrzyjmy się skutkom jego teorii choćby na tak wąskim przykładzie, jakiego dostarcza Zakopane.

Po dwudziestu latach pisze Witkiewicz z ubolewaniem:

„Góral dawniej był dla gościa wszystkim: i towarzyszem, i przewodnikiem i służącym i krawcem i stróżem i pełnomocnikiem we wszystkich sprawach z urzędami, był furmanem, tancerzem, kucharzem, jak i współpracownikiem w rozmaitych badaniach nad naturą Tatr... Dziś się zmieniło... Życie wzięło górali w swoje kluby, dając im możliwość pracy i zarobku poza osobistym, bezpośrednim opiekowaniem się gościem, którego warunki bytu unormowały się na sposób ogólnie — miejski“.

Ten cytat jest znamieny. Witkiewicz wyróżnia dwie kategorie: gości i górali. Stosunek jaki ich wiąże jest ze strony inteligencji patronacki. Za miłość do ludu, za sanatoryjne leczenie duszy inteligentkiej w cudach Tatr i folkloru góraliskiego — górale mają wobec inteligentów zachowywać się jak typowe stare sługi w szlacheckiej literaturze: dawać czułą opiekę i zabawę taką, jaką umiela: tańczyć, oprowadzać, wozić, kucharzować itd.

W praktyce Witkiewicz chciał więc zachować i zachowywał górali w tym porządku kulturalnym, w jakim ich zastał, a zmienił go na tyle, że wprowadził łagodny feudalizm towarzyski. Patrymonialne stosunki.

A potem, po 20 latach, zdumiony mówi — „życie wzięło górali w swoje kluby”. Nie życie — jako deus ex machina — ale wzięło ich zwyczajnie to, co przyszło po awangardzie inteligentno-mieszczkańskiej, „wzięło” ich mieszczanstwo nie jako artystyczna pianina narodu, ale mieszczanstwo, jako konkretna siła społeczna i gospodarcza.

Z Zakopanego zrobiło się miasto — to była rzecz nieunikniona. Ostatni kobziarz Głodcan, kiedy przed śmiercią zeszedł w Zakopane i zagrał swój fabledzi śpiew — zagłuszony został przez jazgot jazzbandu z cukierkami i śmiech dorozkazy. Wymarcie tradycyjnych kobziarzy również było nieuniknione. Ale czy nie uniknąłaby strata dla ludu góraliskiego eksploatacji ekonomicznej i kulturalnej gór? Dlaczego te bogactwa ludu lud stracił? Dlaczego wkroczył tu imperialnie kapitał innej klasy społecznej i ograł lud góralski? Górale zostali wypchnięci z Zakopanego i wypchnął ich między innymi Witkiewicz.

Bo górale w roli tancerzy, przewodników, raczących serem, w roli służących — przyjaciół nie byli i nie mogli być właścicielami tych dóbr górskich, które dopiero w kulturze i cywilizacji wyższej, niż tradycyjna góraliska, dobrami się okazują i na dobrą mogą być zamienione.

Krótko mówiąc, gdyby Witkiewicz i ta wymieniona już plejada umiała postawić góralom takie zadanie: trza wam chłopci wejść w naród, abyście nim trząść mogli, to by może po latach, toby może dziś Zakopane było jak jest miastem-uzdrowiskiem, ale byłoby własnością, byłoby dobrem ekonomicznym i kulturalnym górali, w części dobrem prywatnej drobnej własności, w części dobrem społecznym instytucji i spółdzielni ludowych. W tym samym czasie w dolinach Stapiński próbował takich rzeczy, stawiając w Krakowie Bank Ludowy albo Towarzystwo Ubezpieczeń „Wisła“...

„Ale, że panującym był raczej pogląd, jakiemu hołdował Witkiewicz, więc też i niewątpliwie talenty chłopskie jak Szarek, Słomka, Magryś, Sawczuk, Kuraś doczekały się wówczas osobiwej pomocy „Macierzy”, która ich wydawała pomiędzy innymi swymi publikacjami, w zamiarze utwierdzenia w ludzie jego tradycyjnej ludowości. A wy dawnictwa „Macierzy” — co podkreśla Orkan — odznaczały się tak najwymowniejszym, lukrecyjnym pojmowaniem wsi, że acz najczęściej bezpłatnie nie były czytane, obrażając „kochany lud”, który w nich widział za poważne rzeczy dla dzieci, a za mało poważne dla dorosłych.“

Orkan, który przyswoił sobie z dobrą wiarą całą ewangelię Witkiewicza, jego też oczami patrzył na zagadnienie parcelacji, wychodźstwa i polityki Podhala. Zamykał oczy na głód ziemi, na rosnącą populację, a wielkie wędrowki górali na majątki parcelowane w dolinach uważał za zło społeczne.

„Przesiedliwszy się” — pisał — „stroju swego się wyzbyli, w miejscowy etnizm nie weszli, stali się nijacy. Dzieci ich bezrasowe jeszcze w sielniactwo one głębiej idą”. Ale, bo też za wzorem mistrza idąc daleki był od kryteriów społeczno-historycznych.

„Nie zmył rzeczy, jeśli powiem: nie bieda, nie ciemnota jest najgorszą dla chłopca niedolą. Największe piekło na wsi jako i w mieście wynika ze współzycia różnych ras duchowych ze sobą“.

Przy takiej teorii w wychodźstwie do Ameryki widział oczywiście tylko to, że „człek pracujący za maszynę stoi”. A ci, co wrócili, sterali życie „wysłała im siły Ameryka. Krwawo zaprawdę te dolary zdobyte... — czy warto straconego zdrowia”. A technika, a przemysł jako siła społecznego awansu chłopca, jako środek wzniesienia materialnego — takie myśli nie chciały zaświtać.

NIE CAŁKIEM STRACONE!

Górale stracili Zakopane, Krynice, Szczawnicę itd., stracili, bo ich ruch ludowy, jak cały wówczas ruch ludowy, odcinał się od nie tradycyjnych form organizacji społecznej i gospodarczej wsi. Na niżu wszedł kapitalistyczny przemysł mieszczkańsko-ziemiański na wieś w tartaki, młyny, cukrownie, gorzelnie, w fabryki przemysłu spożywczego, wszedł w handel rolniczy. To była oczywiście grabież mienia chłopskiego i dowód beznadziejności „kultury ludowej”, wystawionej na nowy typ eksploatacji po pańszczyźnie.

Witkiewicz tę beznadziejność umacniał, kolorując ją Duchem narodu i znajdując chętny oddźwięk w bierności ciemnej masy chłopskiej i jej tradycjonalizmie.

Trzeba była aż pięćdziesięciu lat, aby rok temu chłopski podhalański poeta i pisarz przeniósł połowę Naprawy, słynnej, tragicznej Naprawy, na Zachód Polski i tam ją osadził jako pierwszą wzorową wieś kolonizacyjną. Trzeba było pięćdziesięciu lat, aby na naszych oczach dobro chłopskie należące do wyższego porządku cywilizacyjnego — a więc gorzelnie, młyny, tartaki, fabryki, cukrownie, słowem przemysł rolniczy i spółdzielczy handel rolniczy — aby to dobro wróciło do społecznych rąk chłopskich, jako jego dobro ekonomiczne i jako dźwignia do wejścia w naród przez obejmowanie funkcji i zadań, jakie są nieodzowne w nowoczesnym narodzie, a nie w tradycyjnej, zamierającej „kulturze ludowej“.

Na tle tych przemian społecznych sprawa Zakopanego, acz bardzo w ciągu półwiecza zakopana, nie wydaje się jeszcze całkiem przegrana. Ruch gospodarczo-cywilizacyjno-techniczny warstwy chłopskiej stworzył warunki, w których sensowną rzeczą będzie się upomnieć o chłopskie dobra górskie, o dobra, które przyspiesza proces dorzeczania warstwy chłopskiej do odpowiedzialności za kierowanie nowoczesnym narodem świata, bez skłonności do włączenia w swoje najstarsze korzenie, jak to mówili Witkiewicz i Orkan — rasowe, etniczne i plemienne.



WKRÓTCZE UKAZA SIĘ:

Stefan Otwinowski

„CZAS NIELUDZKI“

Str. 128

Zł. 180

Krystyna Fuzakowska

„MIEJSCE WŚRÓD LUDZI“

Str. 136

Zł. 180

Zamówienia przyjmuje „Oficyna Wydawnicza” Katowice, ul. Młyńska 2
Konto P. K. O. Nr III-49-49



PAWEŁ HERTZ

Obrachunki skamandryckie

I. WSTĘP CZYLI O KONIECZNOŚCI SZACUNKU.

Rok 18 otwiera nowy rozdział historii literatury polskiej. Nareszcie sprawa niepodległości kraju przestała być jedynym i zasadniczym przedmiotem literatury! Poezja wyzwolona z obowiązku wieszczania i śpiewania pieśni narodowych szybko w mieszczańskiej rzeczywistości złożyła sobie nowe koryta. A przede wszystkim poeta, który nie jest już poetą patriotycznym sensu stricto, nie budzi oburzenia mieszczaństwa, jak się to działo w epoce przenikania do Polski modernistycznych prądów z Zachodu w końcu wieku XIX. Konflikt między poetą a publicznością przestał właściwie istnieć. Tym bardziej, że poezja rozszerza granice swoich zainteresowań. W okresie późniejszym, myślę tu o latach 1928 — 34 będziemy świadkami stałego zaopatrywania mieszczańskiej publiczności przez poetów w teksty piosenek kabaretowych, skeczów, monologów i tym podobne. Ale kiedy kabarety paryskie wieku XIX czy niemieckie „Überbrette“ były pewną formą protestu wobec istniejącego stanu rzeczy, to warszawski i nie tylko warszawski kabaret z roku 1929 czy 30, pochlebiał mieszczaństwu i dawał mu strawę duchową, nieznaną tylko czasami je drażniąc. Nie bez kozery w liczbie autorów kabaretowych odnajdziemy dziś nazwiska wielu wybitnych poetów tej epoki.

Konfliktu między poezją a mieszczańskim czytelnikiem nie było. To pewne. Po często więc chwalić sobie nowe wspaniałe życie i po roku 1918 wyrasta wonny bukiet zadowolonej z siebie i ze świata poezji.

O tej poezji chciałbym napisać krótki szkic, który nazwał „Obrachunki skamandryckie”. Rzecz jasna, że nie zamierzałem pisać krytycznego studium ani uczonego rozprawy. Po prostu wydaje mi się, że dziś właśnie należałoby ocenić działalność skamandrycką i to ocenić całkowicie: biorąc pod uwagę zarówno przyczyny tej działalności jak i skutki. Sądzę, że zanim zabiorą się do tej pracy historycy literatury, mogą i powinni wypowiedzieć się ci wszyscy, których ta sprawa obchodzi. Kiedy formuła wyroku historii literatury będzie już gotowa, zapóźno wtedy będzie dawać wyrazu swoim poglądom osobistym.

Czas o tyle jeszcze sprzyja temu zamiarowi, że zagadnienie Skamandra przestało budzić tyle sprzecznych i różnorodnych opinii jakie budziło jeszcze w roku 1939. Linia podziału na „awangardę” i „passeistów” znikła całkowicie. Zatarły ją lata wojny. Okazało się, że prawda strofki regularnej może być i była tak samo ludzka i istotna jak prawda metafory i niewątpliwie w tradycyjnym karby rytmu. Nastąpiło wielkie przesunięcie w ramach poezji. Takie same jak w ramach życia społecznego i politycznego — takie same, bo właśnie całkowicie tym ramom podporządkowane. Okazało się bowiem w pewnej chwili, że naprawdę patriotyczne są ośrodki lewicy społecznej, a naprawdę quilingowskie — przedwojenne hurrapatriotyczne centra prawicy.

Jeśli ktoś zamierzałby dziś wkraczać umiarkowaną granicę dzielącą „awangardę” od „passeistów”, jeśli ktoś z uporem powtarzał — te dwa — nie dające się już dziś do niczego przykleić terminy, wyrzuciłby tym samym duże szkody kulturze i zubożyłby wielce i tak niezbyt bogatą poezję współczesną. Tym gorzej wydaje mi się sekciarstwo, które łatwo można zaobserwować przy lekturze zarówno niektórych książek poetyckich, jak i literackich piśm. Rzekomi „awangardysty” chowają głowy w piasek, sądząc, że sami się w ten sposób kryją w zakamarkach nowego stylu, rzekomi „passeiści” powtarzają wzory oklepane od trzydziestu lat. Przewaga rzekomej „awangardy” polega na tym, że jej najmodni przedstawiciele powtarzają wzory oklepane od dwudziestu lat.

Wydać mi się, że nie ma i nie może być recepty formalnej dla poezji. Pozwoliłoby sobie zacytować tu zdanie Jeana Cassou, autora świetnych sonetów, pisanych w więzieniu hitlerowskim, autora „Massacres de Paris” jednego z wybitniejszych pisarzy współczesnej Francji, członka ruchu oporu. Oto jest najważniejsza tajemnica: poezja jest owocem doli człowieka. Jakakolwiek by była: strojna, oderwana, hermetyczna, poezja jest rzeczą człowieka i do człowieka powraca... Zapewne poezja czwsta mogła być w biegu historii czymś koniecznym. Lecz zasadniczo nie ma poezji czystej. I nawet sam Valery, profesor poezji czystej, ten, który się jej domagał, wiedział, jak Goethe i zgodnie z określeniem użytym przez swego mistrza, Mallarmé'go że istnieje tylko „poezja okolicznościowa”. To wiemy po tej wojnie na pewno. Prawdy stylu i prawdy budowy

wiersza przychodzą razem z prawdami historii. Poezja jest owocem doli człowieka. Wyraża jego osobowość, jego losy, jego przeznaczenie.

Poezja skamandrycka nie spełnia tych postulatów. W każdym razie spełnia je połowicznie. Tym nie mniej był to okres wielkich osiągnięć formalnych, udanych eksperymentów poetyckich — jednym słowem epoka, którą w bilansie naszej poezji zapisujemy bezwzględnie dodatnio. Dla tego też wszystko cokolwiek będzie niżej powiedziane o skamandrytach, nawet przy wszelkich pozorach inwektyw, będzie zawsze mówione z intencją najgłębszego szacunku dla kulturalnego znaczenia ich pracy.

2. NIECO TOPOGRAFII.

Rok 1918, rok odzyskania niepodległości zastaje w poezji polskiej sytuację inną niż w jakimkolwiek innym kraju. Liryka nasza pozostaje poza granicą osiągnięć francuskich, czy nawet rosyjskich. Ukazuje się ostatnie tomy przedstawicieli Młodej Polski: Kasprowicza, Langego, Staffa, Leśmiana. Ale te publikacje nie są wynikiem jakiegoś istotnego trwałego prądu literackiego, przypominają raczej późno ne zakwitanie niektórych gatunków drzew. Trzeba by sobie uświadomić, że ten poezji na zachodzie był w owym czasie zupełnie inny i bardzo daleki od tego, co nazywano modernizmem czy neoromantyzmem, a czego pełne były piękne wiersze wymienionych przeze mnie powyżej poetów.

We Francji okres rozkładu formy poetyckiej rozpoczął się o wiele dawniej. Trwał od Rimbauda, przechodził rozmaite etapy — był równoległy do okresu wielkich przemian ekonomiczno - społecznych. Te wielkie przemiany ekonomiczno - społeczne (o których wspomina w swoim esyju o poezji francuskiej Adam Ważyk) odbywały się na Zachodzie, do nas dobiegały ich wtórne fale, jak kręgi na wodzie. Miejsce, w którym padł kamień był Zachód, zwłaszcza kraje wysokiego uprzemysłowienia.

Rozkład i upadek dawnych form życia gospodarczego, konstruowanie się form nowych pozostawiło wyraźny ślad w poezji. Ślady te odnajdujemy bez trudu w chronologii: 1906, pierwszy manifest futurystyczny Marinetti'ego, ekspresjonizm niemiecki od 1912 roku i t.d. Wszystkie te ruchy bez względu na ich wartość artystyczną, która po latach niezupełnie odpowiada ocenom współczesnym, były przeciwieństwem i konsekwencją sytuacji na Zachodzie.

Na terenie polskim nawet późnolone wyściańskie dadaizm (almanach GGA) czy futurystów, tak stosunkowo u nas początkowych, mimo powoływania się w swoich manifestach na konieczność zerwania z przeszłością kulturalną, były właściwie czymś niezmiernie anachronicznym i pozabawionym jakichkolwiek korzeni. W tych warunkach wystąpienie skamandrytów jako zorganizowanego ośrodka poetyckiego w roku 1920 jest dokumentem kulturalnie o wiele bardziej istotnym, bo ówczesny Skamander istotnie odpowiadał ówczesnemu układowi kulturalnemu kraju.

Niewątpliwą zaletą Skamandra była kontynuacja tradycji poetyckich pomniejszych o nowe zdobycze formalne (assonans — Iwaszkiewicz w „Oktostychach”; powieść poetycka — Rytard „Wniebowstąpienie”). W owym okresie początkowo niewiele zarzutów można by wytoczyć skamandrytom. Tragedia rozpoczęła się dopiero po realizacji programu życiowego skamandrytów w ramach lat 1926—1939. Ale to będzie stanowiło treść jednego z następnych rozdziałów.

3. RODOWODY.

Wydać mi się, że termin „skamandryci” niezupełnie odpowiada treści, jaką się pod pojęciem to podstawi. Gdy mowa o Skamandrze myśli się przeważnie o pięciu jego przedstawicielach: Iwaszkiewiczu, Lechoni, Słonimskim, Tuwimie i Wierzyńskim. Trudno by chyba wśród pięciu przedstawieli jednej grupy znaleźć pięć bardziej różniących się od siebie sylwetek poetyckich, nie tylko ze względu na styl, ale przede wszystkim z uwagi na zupełnie odmienne poimowanie zadania sztuki poetyckiej. Sądzę, że w tym względzie wiele wyjaśniłaby genealogia poetycka poszczególnych przedstawicieli Skamandra. Dotychczas wymieniano poetyckie genealogie Skamandra jako całości. Obowiązywało to dla całego okresu historycznego istnienia tej grupy, to znaczy od roku 1920 do 1939. (Z tym oczywiście zastrzeżeniem, że w ciągu tych lat dziewiętnastu skamandryci odbywali rozmaite ewolucje i ulegali najbardziej może ze wszystkich środowisk literackich naciskowi warunków politycznych i społecznych.

Ten poetycki rodowód zamykał się przede wszystkim na kilku nazwiskach, którymi równie łatwo i lekkomyślnie można by obciążyć wszystkich innych poetów tego okresu i to nie tylko w Polsce ale i zagranicą. Walt Whitman, Baudelaire, Rimbaud... Zapewne trafniejsze będzie odszukanie genealogii i parantel poszczególnych przedstawicieli Skamandra — to ułatwiłoby nam ostateczne ustalenie, że Skamander nigdy jednolitą grupą nie był, że w ramach tego świetnie prosperującego przez dwudziestolecie hotelu poezji polskiej, apartamenty nie zawsze były podzielone zgodne z istotnymi zaletami.

Z góry zgadzamy się wszyscy na wyprawienie rodowodu grupy z wielkiej poezji Zachodu połowy XIX wieku i z liryki rosyjskiej końca wieku. Takie są tradycje skamandryckie w najogólniejszym kształcie. Wyjaśniają one inklinacje tych poetów do liryki Staffa, którego wszyscy prawie będą uważać jeśli nie za patrona swoich własnych wierszy, to w każdym razie za poetę włączającego ich z tradycjami liryki polskiej.

Analizując dokładnie bez trudu ustalimy parantele poetyckie poszczególnych poetów Skamandra. Są one bardzo charakterystyczne i odpowiadają oczywiście ówczesnym ich indywidualnym postawom.

Wierzyński owego okresu obficie czerpie z Siewierianina, poety modnego ale całkowicie blaknącego już choćby w zestawieniu z współczesnymi sobie akmeistami. Co do filiacji whitmanowskich, to choć Wierzyński powołuje się na niego, nie są one ani istotne, ani głębokie. Wielki poeta amerykański afimował rzeczywistość nieco inaczej niż jego polski wielbiciel. Whitman oprócz zachwyty dla świata miał jakąś jego konstrukcję, wierzył w nią i domagał się jej realizacji. Wierzyński, przechwytył czysto sensualistyczne momenty whitmanowskich hymnów. Ale też był to konsekwencje zdeziluzjonowania whitmanowskich pojęć o świecie, które nie wytrzymały próby czteroletniej wojny światowej.

Tuwim tego okresu korzysta z doświadczeń Błoka, z atmosfery jego wierszy miejskich, Iwaszkiewicz reprezentuje u nas doświadczenia poezji rosyjskiej po roku 1905 z jej sensualizmem, wyrafinowaną i sztuczną prostotą, nagromadzeniem realiów, które są raczej pretekstami. Myślę tu zwłaszcza o bardzo pokrewnym typie poezji Michała Kuźmina i zdaje mi się, że niektóre elementy poezji Iwaszkiewicza z pierwszego okresu czy Zygmunta Karskiego, pokrewnie są wielce temu odgałęzieniu liryki rosyjskiej, którą najdoskonalej reprezentował Kuźmin. Skamandryci odgradzają się w pierwszej swojej fazie od bezpośrednich swoich poprzedników, porzucają obóz warowny symbolizmu dla codziennego realizmu, dla konkretności. Tak niewątpliwie dzieje się w liryce Wierzyńskiego, Lechonia, Tuwima, Witlina. Zobaczymy później, gdy wymarzona rzeczywistość poczęła realizować się w konkretnych formach, co pozostanie z witalistycznej, opartej o biologię poezji Wierzyńskiego, co pozostanie z historycznych werbalistycznych scen Lechonia czy z zachwyty Tuwima wobec świata rzeczy i świata przyrody.

Ci Skamandryci, którzy od początku traktowali realizm w liryce jako pretekst, którzy najdalej byli od biologii, którzy zastaniali się stylizacją, ci — rzecz znamienna — przebyli najmniejsze stosunkowo rewolucje i pozostali najbardziej wierni swoim początkowym teozom artystycznym. Ich poezja nie była mimo pozorów niczym innym jak artystowstwem, liryką hermetyczną, nieczułą, nie próbującą nawet rejestrować spraw świata i dlatego gwałtownie przemiany, które wraz z otaczającym ich światem dotykały najbardziej zaangażowanych w tym świecie poetów Skamandra, jakimi byli Wierzyński czy Tuwim, tamtych prawie że nie dotknęły. Wiersze Iwaszkiewicza czy Karskiego przetrwały wydaje mi się czas przeważnie odczuwania cenności poetyckich. Ta poezja nigdy nie obiecywała nam wspaniałego świata, nie była lirycznym repertuarem z krajiny fantastycznej, która w efekcie okazała się biednym, nieuprzemysłowionym krajem, położonym w środku Europy, rządzonej w okresie między dwiema straszliwymi wojnami nie przez mityczne postaci „Karmazynowego poematu”, lecz przez realne interesy niewielkiej garstki ludzi, ukrytych za barwną dekoracją pułkownikowskich mundurów, stanowiących to część skamandryckiej poezji po roku 1926.

Jeśli jakieś wiersze z tych czasów są jeszcze dziś czytelne, myślę tu oczywiście o tej poezji, której intencją jest mówienie o „sprawie ludzkiej”, to chyba będą to tylko wiersze Antoniego Słonimskiego. Słonimski ma parantele dużo starsze niż

jego rówieśnicy. I zupełnie inne. Społeczna, humanistyczna tematyka Słonimskiego wyróżnia go z całej jego niefrakcyjnej generacji. Można się dziś nie zgadzać na liberalistyczne sformułowania, anachroniczne nawet już wówczas, w latach po wojnie 1914 roku. Niepodobna nie odrzucić koncepcji Słonimskiego z poematów takich jak „Wieża Babel”, czy innych. Ale trzeba pamiętać, że w owym okresie poezja Słonimskiego, pomijając jej formalną doskonałość, jest kontynuacją tradycji pozytywistycznych, jest jedynym przejawem poezji intelektualizowanej, jedynym przejawem analitycznego spojrzenia na świat i jego sprawy w okresie rozkwitu zaufania do świata takiego, jakim był po roku 1918.

I Słonimski pozostał najbardziej może wierny sobie dawnemu. Podczas gdy śpiewający zachwyty nad sobą i nad światem Wierzyński zmienił się z biegiem lat w ponurego historyzofa niesprawdzających się mitów, Słonimski, poeta w gruncie rzeczy polityczny, utrzymał czystość i prawdę swojej poezji.

Rodowody poetyckie płatały figle w ciągu tych dwudziestu lat, które dzieliły debiuty Skamandrytów od książek wieku dojrzałego. Fikcja werbalistyczna Lechonia i przesłaniający rzeczywistość witalistyczny zachwyty Wierzyńskiego nie sprawdziły się i nie mogły się sprawdzić, bo były oparte o koncepcję zbudowaną ze złudzeń mieszczańskich co do losów Polski i świata po roku 1918.

4. WYCIĘCZKA GEOLOGICZNA W DOLINĘ SKAMANDRA

Ogromną popularność, jaką cieszyli się niektórzy Skamandryci u czytającej publiczności owych czasów, zawdzięczał oni zapewne tylko temu, że podtrzymywali wśród mieszczańskiej „elity” wiarę w doskonałość świata. To zaufanie do życia było możliwe oczywiście tylko tak długo, dopóki życie samo nie zaczęło go podrywać. Rok 1926 był rokiem przejścia niektórych poetów Skamandra do klasycyzmu. Zdawałoby się, że przemiany polityczne nie powinny tak bezpośrednio wpływać na lirykę. Ale przecież nieoklasykacyjne tendencje występujące wyraźnie i u Skamandrytów i u poetów związanych ze Skamanderem (Witlin, Jasnorzewska-Pawlikowska, Elsmund, z młodszymi — Kolonicki, Mieczysław Braun). Pejzaz, który przedtem był przedmiotem dynamicznego opisu, staje się teraz tem dla liryki refleksyjnej. Ten klasyczny okres, etap stabilizacji i uspokojenia niedawnych buntowników będzie powoli przechodził od refleksji pogodnych do refleksji coraz to bardziej pesymistycznych.

Kryzys gospodarczy, bolesna konfrontacja mitu z rzeczywistością odrodzonego państwa, ciężka atmosfera sanacyjnej Warszawy, która była domeną Skamandra, przewidywania bliskiej epoki kryzysu kultury, temu wszystkiemu skamandryci nie potrafili przeciwstawić nic, poza jedynym może Słonimskim, który walczył staroświecką bronią zesłego wieku przeciwko nadciągającym niebezpieczeństwom.

Kolejne tomy wierszy czolowych Skamandrytów świadczą o daleko posuniętych zmianach w ich postawach wobec świata. Wierzyński, autor niedawnego „Lauru Olimpijskiego” staje się autorem „Wolności tragicznej”. Iwaszkiewicz od klasycznych, nawiązujących do niewzruszonych tradycji zachodnio-europejskich wierszy „Powrotu do Europy” przechodzi do filozoficznej, pełnej niepokoju o siebie i o świat, liryki „Lata 1932”. Tuwim — wystarczy porównać „Rzecz czarnooleśką” z nerwową, pełną niedomówień „Biblią cygańską”.

Lechoni milczy. Słonimski jeden pozostaje sobie wierny i w „Oknie bez krat” mówi to wszystko, co nie zostało powiedziane przez jego pokolenie. Zbliżamy się do roku 1939. Jeśli można badać poezję po latach tak jak bada się wykopalska lub warstwy geologiczne przekroju ziemi, to ktoś kto po latach zechce urządzić geologiczną wyprawę w dolinę dawnego wysychłej już rzeki, która nazywała się Skamander, ujrzy rozkopawszy nieco jej wycięte łożysko, wielowarstwowy przekrój. Ale nic nie rozumie z kolejności nawarstwień, jeśli nie będzie wiedział jak wyglądał świat dookoła tej rzeki.

5. SYNOWIE MARNOTRAWNI

Skamandrycka piątka nie mogła oczywiście pozostać izolowana w swojej pracy, tym bardziej, że to co robili było pełne uroku i świeżości. Wokół pisma utworzyła się grupa mniej lub więcej związanych z nim poetów. Mniej popularni niż wielka piątka stanowili przecież zasadniczy trzon tego ochrzczonego wspólnym mianem ugrupowania. Myślę tu przede wszystkim o niesłusznie zapomnianym, jednym z najbardziej interesujących poetów polskich dwudziestolecia, autorze jedynego tomu wierszy „Musujący poranek”, Zygmuncie Karskim. Dalej chcę przypomnieć tu autora jednej z niewielu

udanych próz poetyckich, jakie były w polskiej literaturze — J. M. Rytarda i jego debiut „Wniebowstąpienie”. Mimo wyraźne filiacje jakie łączy ten utwór z rimboudowskim „Sezonem w piekle” jest on zmienny dla epoki, w której Wierzyński pisał „Hop, skaczę z łózka, jak młodo...”

W miarę lat zastępy wokół Skamandra powiększają się coraz bardziej. Powstałe w tym okresie „Wiadomości Literackie” stają się pomocniczą trybuną Skamandrytów. Od tej pory wielka piątka i poeci afiliowani zostają wyniesieni na świeczniki oficjalnej literatury. „Skamander” na krótko przed swoją likwidacją, w pierwszej swojej fazie drukuje wszystkich utalentowanych naprawdę poetów, pod warunkiem, że nie splamią się nowatorstwem, które uważane było wówczas w epoce wzajemnych prześmiewań z Peiperem i towarzyszymi, za herezję.

W ostatnich zeszytach „Skamandra” z pierwszej fazy znajdujemy wiersze Jastruna, Lieberta, M. Brauna.

Gdy po latach w roku 1935 dla honoru domu „Wiadomości Literackich” wznowiono „Skamandra” sytuacja stała się nieco kłopotliwa. Obóz awangardy wygrywał wszystkie pasyżerskie słabości: niesprawdzalność lirycznego reportażu, potoczność rytmu, „kataryniarstwo”, które w okresie późniejszego u nas łamania się ustalonych form, musiało razie, rozlewność liryczną, niemożliwość skrótów. Awangardziści pokazywali świat rzeczy i świat pojęć: ani go nie opisywali, ani o nich nie opowiadali.

Dawni zwolennicy „Skamandra”, poszli swoją drogą (Napierski), przestali pisać (Karski, Rytard) lub pisali niewiele (Baliński). Z młodzieżą poetycką, ulegającą przeważnie nowym prądom kontakt był utrudniony. „Skamander” nie miał nigdy żadnego programu artystycznego, lekcewał konieczność przemian w lirycie, nie rozumiał, że sprzeczności są motorami rozwoju kultury — nie było nigdy żadnej poważnej krytyki skamandryckiej, takiej jaką potrafili stworzyć nowatorzy rosyjscy, czy niektóre grupy francuskie. Skamandryci wierzyli w talent, jedyny motor twórczości. Młodzieży trzeba było wiele innych rzeczy: ideologii, i to nie tylko artystycznej, pewnej dozy intelektu, w poezji sformułowania jakiejś teorii. „Skamander” zwłaszcza ten wznowiony, tego wszystkiego nie dawał. Tym niemniej stał się Panteonem poezji polskiej, gdzie wystawiono na pokaz czcigodne zwłoki przedwczorajszej poezji. Werbowano młodzież. Debiut w „Skamandrze” był awansem literackim w pojęciu mieszczańskich konsumentów. Nowy „Skamander” przyniósł oprócz starych znanych nazwisk, nazwiska nowe — drukowano wszystkich, byleby trzymali się norm tradycyjnej poetyki. Przypuszczam, że redaktorowi wznowionego „Skamandra” chodziło już tylko o tradycyjność układu graficznego, bo przecież młodzież poetycka nawet przycięta przez „Skamandra” nie mogła pozostać głucha na uroki nowej poezji.

Było to pokolenie synów marnotrawnych, którzy strwonili dziedzictwo reportażu lirycznego dla katastroficznych wizji końca świata, dla stylizacji, dla liryki refleksyjnej, filozoficznej.

Błędem polityki Skamandra było lekceważenie, nadchodzących generacji poetyckich jako całości i metoda wychwytywania z tych generacji poszczególnych przedstawicieli. W ten sposób nie było i nie ma, co bez trudu sprawdzić można zwłaszcza dziś, żadnego łącznika między pokoleniem Skamandra i pokoleniem następnym.

O GRZECHU PYCHY.

Ten błąd nazwałbym grzechem pychy. Przekonanie, że sam talent wystarczy, niezrozumienie, że coraz bardziej komplikująca się epoka wymaga jakiejś ideologii artystycznej, wreszcie zaprzeczenie prawie całym swoim dorobkiem, (wyłączam tu Słonimskiego i nie pretendującą do żadnego działania poezję Iwaszkiewicza) tej podstawowej prawdy, że „poezja jest owocem doli człowieczej” — wszystko to postawiło w impasie poezję Wierzyńskiego i Lechonia.

Już przedwojenne pokolenie poetyckie odchodziło coraz dalej od poetyckich pozycji skamandrytów. Jeśli kto miał epigonów, to chyba jeden tylko Iwaszkiewicz — polegało to zapewne na urokach spokojnego artystostwa, na wierze w nienaruszalność mitów zachodnio-europejskiej kultury.

Dziś, po wojnie wiersze Wierzyńskiego czy Lechonia mają dla wielu z nas już tylko urok wspomnienia dawnych zachwyty. Czytamy je z trudem i niechętnie. Późniejsza historyczodolna liryka Wierzyńskiego brzmi dzisiaj jak pusty beben. Okazało się, że problemy tragicznej

wolności rozwiązywały się zupełnie inaczej niż to sobie wyobrażał autor rymowanej mitologii dni pomajowych.

Ten grzech pychy, ta niechęć do intelektualnej podbudowy — swojej poezji (wiemy dziś, że nie byłoby to łatwe w odniesieniu do poezji Wierzyńskiego) zemścił się strasznie. Grzech pychy a przede wszystkim grzech wiary w doskonałość tej rzeczywistości, w której żył autor „Karmazynowego poematu” sprawia, że właściwie wszystkie wiersze Lechonia są już dziś nieczytelne.

Jeśli jednak pokolenie poetyckie, które sformowało się jeszcze w atmosferze działania skamandrytów zachowało pewną wiedzę o tym okresie poezji polskiej, to pokolenie powojenne nie tylko, że nie wiele o nim wie, ale uważa, że może nic o nim nie wiedzieć. Jest to późna zemsta historii literatury za niedocenywanie roli ciągłości kulturalnej — tej samej ciągłości, której Skamandryci na samym początku swego istnienia zawdzięczają przewagę nad pozostałymi grupami poetyckimi,

STANISŁAW LEM

KW I wygląda z zewnątrz jak brontozaur, pancerny gad przedpotopowy, który przykłąk, zginając swe okryte ostrymi łuskami kolana i wysunął poziomo pięciometrową szyję. Malowniczy zielonkawy kolos sunie powoli przez rzyska.

Ale od wewnątrz jest KW I żelazną skrzynią, ciasną, najeżoną rekojęściami dźwigni, korb, jasno lakierowane ściany przerywają dziesiątki oksydowanych kabli, rur, przewodów, pelzających w wszystkich kierunkach. Każdy z pięciu ludzi załogi obwarowany jest murem przyrządów, które musi obsługiwać w ścisłej tej ciemności, zapadłej z chwilą zamknięcia luku.

W tej chwili jest on otwarty. Wychylny po pierś porucznik Simonow kołysze się lekko w takt ruchu czołgu, który sunie utworzoną przez poprzedzające maszyny koleiną. Mrużąc powieki od południowego słońca, porusza brwiami, aby strumyczek potu nie spłynął mu do oka. Kolumna ze zgrzytem trybów wyciąga się daleko w step, szary i zielony. Tylko dowódca czołgu może obrzucić wzrokiem jego wyginającą się leniwymi garbami przestrzeń.

Sierżant Gluchow, który trzyma dłoń na dźwigniach kierownika, widzi przez przedni czołgu, a kiedy droga staje się bardziej nierówna, w biały prostokąt widzenia wpada kontur wieży działowej, wyglądającej w śmieszny skrót jak przypuszczona, olbrzymia głowa.

Czołgi powtarzają te same ruchy, przyhamowane na skrętach gąsienic chrapia, odskakując w wyschłej glinie swoje żelwne pazury. Gluchow odciąga dźwignie powolnym, niemal sennym ruchem, KW I rzęzi trybami i skręca posłusznie w prawo. Nagle słuchawki telefonu pokładowego brzęczą, kierowca pochyla się do tyłu i wyciska sprzęgło. KW I staje, dygocząc wolno pracą s'lnika. Ładowniczy działa, który siedzi niżej poziomu wieżyczki, za stojącym porucznikiem, próbuje się domyślić, jaka jest przyczyna postoju, ale za ścianą słychać już dobrze znany, uporczywy piśk i dudnienie.

Traktory wyjeżdżają z bocznej drogi — osłaniające je gąsienice uschły już, choć cięte były rano. Stalnice przeleżą przez suchy rów i wznosząc swoje tepe przody do góry, opadają z trzaskiem na nagłe zwolnione rolki. Za nimi toczą się z pozorną lekkością haubice. Kolumna czołgów czeka cierpliwie — ładowniczy Plewcow liczy działa na słuch, ale szybko mu się to nudzi. Dłoń sięga w znajomą ciemność — napotyka na ostre szczyty pocisków, wylazające z ładowników i trafia na rozgraną przegrodę motorową. Diesel pracuje powoli, każdemu wybuchowi odpowiada eapliwy wydech spalin, żelazny dreszcz pobudza wypukłą nitami blachę do życia.

— Żelazne serce — myśli Plewcow i od dycha głęboko w nardzie zimnego powietrza, pędzonego wentylatorem. W tej chwili czołgi rusza.

Sierioża, radysta odsunął w tył głowy haubę, wyłączając się tym ruchem z wewnętrznej spistości. Krótką chwilę odczuwał z ulgą, jak mechaniczny wiatr buszuje mu we włosach, ale obowiązkowość zwyciężyła: wcisnął na plekące uszy skórzany hełm. Warkot motoru trochę przycichł.

Porucznik, wychylny, śledził, wciąż taki sam step, falujący niskimi wzgórzami, zza których dobiegał monotony grzmot artyleryjski. Wzmógł się kiedyś mi nęł jeszcze jedną linię starych, zrytych i zapadłych w siebie umocnień połowych i przepelzał przez ruiny wsi (rzeczywiście była zrównana z gruntem — nawet kominy nie stały, skoszone granatami).

Wreszcie ukazały się pozycje artylerii. Działa wkopane w płytkie rowy pracowa

nieopartymi o żadne, organicznie związane z układem sił w Polsce, tradycje.

7. ZAKOŃCZENIE CZYLI O KONIECZNOŚCI SZACUNKU.

Moje obrachunki skamandryckie, impresyjne i ledwie naszkicowane, zostały już zakończone. Pozostaje mi do napisania jeszcze tylko jedno, co kompozycyjnie wiąże się ze wstępem.

Zapewne, obrachunki skamandryckie dają w rezultacie wynik ujemny. Nawet przy tak sumarycznym i pobieżnym rachunku, jaki zestawiłem. Uważny krytyk zaopatrzonej w czułe instrumenty wiedzy o literaturze określonej warunkami historycznymi, a wiemy, że naprzekór schöngeistom innej literatury nie bywa, wystawił napewno rachunek dużo surowszy i bardziej ujemny.

Ale zarówno uważny krytyk jak i autor impresyjnych uwag i każdy, kogo zajmuje sprawa poetyckie wie napewno, że „Skamander” był doniosłym wydarzeniem w dziejach naszej poetyki, nie tylko

ze względów formalnych. Kto wie, czy w rozmaitych losach, które spotkały różne od siebie bardzo wiersze Słonimskiego i Wierzyńskiego, nie sprawdziła się najlepiej definicja Cassou, że poezja jest owocem doli człowieczej.

Te gorzkie doświadczenia, które zawdzięczamy poezji: tej, która sprawdziła się po sześciu latach wojny i tej, która się nie sprawdziła, która zawiodła nas mimo pozorów wierności, zasługują na szacunek.

Te gorzkie doświadczenia, tę bezradność samego tylko piękna nieopartego o żadną ludzką prawdę, miał chyba na myśli Norwid, kiedy w liście do Merzbacha w roku 1866 pisał: „Część moralna i obowiązkowa jest u poetów naszych na stanowisku wyjątku i małego odcyła, ale to nie uzasadnia i nie uźródla poezji: moralistów prawie nie mamy. Stąd: piękność malarska zagórowała — ale to moim zdaniem skończone jest”.

Paweł Hertz

K W 1

ły pełną parą, czołgi szły teraz prosto w przerywe, utworzoną przez zygzak stanowisk. Tańczące, jak na sznurkach, sylwetki kanonierów rosły w oczach. Najbliższa haubica w regularnych odstępach czasu wyrzucała z lufy ogień i dym, skacząc w tył, pecyny ziemi tryskały spod wspomników, osmołeni kanonierzy rzucali się na działa, ładowniczy wsuwał pocisk, który nianiczył w objęciu i stojący choę z tyłu podoficer wołał: ognia, przecinając ręką powietrze.

Kiedy czołgi przejeżdżały obok, Simonow spojrział w twarz temu artylerzyście. Była ona brązowa, jak wszystkie, wygarbowana słonym potem i wiatrem, a kiedy wydawał rozkaz i przecinał prawicą powietrze, za każdym razem tryskała z niej wściekłość.

Amnata waliła raz za razem, tak szybko, jak tylko jest to możliwe przy automatyzowanym i zgranym zespołem. ale dowódca w każdy swój okrzyk kładł nowy gniew, ręka spadała w dół, jakby uderzając niewidzialnego przeciwnika, grymś przebiegał od usi ku otoczonemu zmarszczkami oczom i kończył się w wystrzale.

Za chwilę wszystko powtarzało się na nowo.

Porucznik oglądał chwilę malejącą postać, która znowu stała się podobna do nakręconej laleczki: kiwał ręką — rozlegał się huk — przejrzyty kłęb dymu, jak strzępek czarnej waty rozpywał się w powietrzu — znowu — i znowu.

Nad głowami pobiegły śpiewne tory pocisków, rozciągnięta kolumna zakreśliła — i oto nagle ukazał się wawóz, jak koryto głębokiej rzeki. Żelazne pudła opuszczały się po stromym zboczu, rolki kwiczały, hamulce, uderzane raptownie, targaly stalowymi taśmami. Ostatni czołg zjechał i nastąpiła cisza, poprzedzielana słupami wuchów.

Simonow usiadł. Powietrze weszło do czołgu szeroką falą. Matowy blask padł od lakierowanych ścian.

Plewcow podniósł się, usiadł, poprawił na siedzeniu i znowu wstał. — To już półdzien, teraz? spytał.

Porucznik odpowiedział nie od razu. — Pójdziemy — a co wy — boicie się. Plewcow? nie chce się umieścić?

Właściwie porucznik chciał powiedzieć coś zupełnie innego. Nie zna tu nikogo, przyjechał z zapleczka tego samego dnia, kiedy odłamek granatu zabił dowódcę czołgu. Otrzymał dowództwo, próbował zbliżyć się jakoś do załogi, chciał w obliczu nadciągających dni bojowych związać silniejszy węzeł przyjaźni. Ludzie, obsługujący skomplikowaną maszynę, stawali się potrosze jej częściami. Ale i oni modyfikowali ją, w każdą czynność wkładając coś z siebie, ze swoich przez lata narosłych zwyczajów, sposobów bycia. Simonow odczuwał ciekawość i sądził fałszywie, że można ją będzie zaspokoić słowami. Teraz właśnie trafił niechcący w drażliwe miejsce — Plewcow nie umiał mu sam odpowiedzieć. Wyreczył go radysta, Gałyszkin. Przyzwyczajony do mówienia na wiecach, rozciągał słowa, patrząc trochę z dołu na porucznika.

— Co tam dużo myśleć — ja wiem że czołgowi nie się stanie. Tu na nic filozofia. W głosie zabrzmiała nutka pogardy dla inteligentnego gładzenia.

Simonow odczuł przekore. — A to czemu, jeśli można wiedzieć? cóż to my tylko mamy taki pancerz? Sierioża, tuż zły, myśli: a to ananasa nam przysłał!

— Tak trzeba wleżyć — powiada twar do, a w ogóle nie ma o czym mówić — ciągnie niemal niecierpliwie — jak się człowiek dobrze bije, rozgrzeje się, to i na strach nie ma miejsca.

Simonow jest zmieszany. Tu trzeba powiedzieć bardzo dużo — ale wzrok mówi

mu, że to daremne. — Niczego nie pojmą, zakute łby.

Simonow nigdy nie potrafił całkowicie zasklepić się w chwili, w tej chwili, która jest. Zawsze jakby sięga w przód i w tył, poszerza sobie tę dziurkę, którą wolno na świat wyglądać. Kiedy Plewcow, czy Gałyszkin patrzy mu w twarz, szukają takich tylko rzeczy, jakie mogą pojąć. Czy dowódca jest odważny? Czy jego są niebieskie, w dziwnym świetle czołgu, które przy pogodzie ma rudawy brząsk burzy, tęczy są odcienia stali. Tej samej, po której suną powrotniki działa.

Ale Sierioża wielu widział już ludzi i wie, że to nie dość — mieć takie oczy.

W tej chwili odzywa się kierowca. Chłop to jest, chłop, który trzyma dźwignie hamulcowe, jak czepią pluga. Odwracając twarz brązową, wysklepioną kośćmi półczkowymi, jak tarcza, mruga żółtymi rzęsami.

— Każdy ma swoją śmierć — powiada — i inna go nie spotka.

— Czy to ma być dalszy ciąg rozmowy? Simonow drgnął. Bokiem przebiegła myśl: nie trzeba dyskwalifikować z góry — ale musi uważać dalej.

— To niby wszystko jest z góry przeznaczone? To ty w Boga wierzysz. Gluchow? woła ze zdumieniem i żalem zarzem Sierioża, jakby mówił: a to żmieję hodowałem. Cały wczorajszy wieczór rozmawiał z kierowcą, namawiając go do brania udziału w kursie partyjnym.

Kierowca puszcza rekojęści ale zaraz chwyta je ponownie jakby czując, że w trudzie tak ciężkim jak przełumaczenie swoich przez lata milczących wzrastających myśli na język ludzki potrzeba mu oparcia.

— Nie — kiwa głową — to nie ma z Bogiem nic — każdy ma śmierć taką, na jaką sam zasłużył. — Jaka mu się należy — tłumaczy ze wzrastającym powoli zniecierpliwieniem. Śmierć nie stoi, i nie czeka na ciebie, ale idzie naprzeciw — rozumiesz? a ty ją sobie wedle woli wybierasz...

Sierioża jest zły: brednia jakaś, bajki, ciemnym jesteś chłopem, Siemion nie gniewał się.

Gluchow uśmiecha się najłżejszym drgnieniem swojej ziemistej w półmroku twarzy i nie odpowiada.

— Człowiek sobie życiem śmierć tworzy — tłumaczy w myśli na piękny inteligentki język słowa kierowcy porucznik — dodając zarazem: a to ci „dusza rosyjska” — ot, wymyślił.

Wychyla się z czołgu na zewnątrz. Powiew stepu jest dymny, ale orzeźwiający. Nagle słuchawki wszystkich zahuczały. Gałyszkin nastawił gałkę kondensatora — gęsty śpiew swnałów rozwarł się i czysł głos nawolował monotonna: uwaga, uwaga — trzydzieści siedem a — trzydzieści siedem a.

Wawozem załomotał tupot wielu nóg. Simonow zobaczył biegnących żołnierzy, którzy zbili się przy płytach pancerza, wiaząc na skosne boki czołgu, siadając gęsto i podkurczając nogi. Cały batalion rozsywał się we wnętrzu taru, żółtego od zaschłej gliny. Buty niechoczący dźwięczały po żelazie. Gdy desant usadowił się, porucznik raz jeszcze sprawdził wzrokiem wnętrze. Poza cenną przegrodą przodu majaczyła niewyraźnie postać kierowcy i mechanika. Tuż pod nimi, w ciasnej szyl wieżyczki siedział ładowniczy Plewcow, rozkraczony na okrągłej poduszce. Gałyszkin maistrował przed nim przy aparacie radiowym.

Znowu zadzwoniły słuchawki, żołnierze naieżyli lufy automatów, okrywając się pelerynami ochronnymi. Żelazne drgnienie przeszło przez kolumnę i czołg ruszył, rozpędzając się w biegu.

Simonow stał, jak długo powietrze nie zaroiło się świstem i śpiewem. I wtedy jeszcze stałby dalej, by dodać otuchy tym na zewnątrz, przyczepionym do skorupy nie chroniącego ich żelaza, ale wszędzie luki zamykały się, kłapiąc. I on zanurzył się w ciemność.

Wyglądało teraz, jak w łodzi podwodnej. Mięny blask padał przez cegielki pan czernego szkła. — rude refleksy głowy działa i matowych ścian. Simonow przylgnął oczyma do gumowego ochraniacza lunety.

Czołgi rozpetli się rojem, zmieniły szyk i szeroką tyralierą poszły na linię wzgórz. Motory osiągnęły najwyższą szybkość, ich wysokie dudnienie kryło grzmot palby. Głuchow, pochylony do przodu, zawierając w ujęciu ramion wszystkie przyrządy deski czołowej, z oczyma przy przezierniku, prowadził pewnie i prosto. Widział ostry zarys horyzontu, który falował zgodnie z ruchem czołgu. Czując pod stopami twardą podatność pedałów, cały w gorącym oczekiwaniu, szeroko rozwartymi oczyma chłonał uciekającą pod maszyną przestrzeń.

Plewcow siedział nieruchomo w ciasnym kącie, utworzonym przez ścianę czołgu, po której biegło drzenie i potężny zad dźwięk. Oczy jego, bardzo teraz błyszczące, szukały twarzy drugich. Mógł dojrzeć tylko Simonowa, jego zacięte usta, krótki za rys brzoju. Wpatrzył się w tę twarz, która była jedynym oknem na świat.

Na zewnątrz strzeliły dymnymi ogonami rakiety, czołg zwolnił gwałtownie, pochylając przód ku ziemi, i ciemne postacie zeskakowały, strzelając w bieżący. Nerwowo rytm automatów oddał się — kierowca dał znówu gazu i poczęli rwać na zbrocze. Otoczyli ich stupy wybuchów. Kilka razy twarde uderzenia rykoszetowały po obłych bokach, odpryski rozszarpane stali przyskały z dźwiękiem ciężej nożycami blachy. Grudy ziemi pacnęły w przeziernik, aż kierowca odruchowo cofnął głowę i zły przycisnął czoło do gumowej poduszki.

Simonow daremnie poszukiwał celu, gdy wtem czołg zafalował, linia horyzontu wróciła do poziomu a zarazem czarne krechy kolczastych przegród ukazały się tuż, nisko, maszyna chrupnęła lekko, wzięła je pod siebie i, zwolnwszy nagle, przelazła przez okop.

Głuchow wsparł się nogami o pedały, wyciskał je i KW 1 obróciło się na miejscu, mierzając nieumocnione ściany ziemianek. Potem zawrócił i pojął naprzód.

Sluchawki znówu rozdudniły się, ktoś wołał ich szybko, szybko. — Step był bez kresny i spokojny. Wybuchy leżały za nimi, i kiedy oko porucznika zeszło z brzucha białej chmury, zaczęła o ruiny wsi, ujrzał ciemny język lasu.

Czołgi wchodziły w wieś, która tli jeszcze rozrzuconymi głowiami. Piechoty nie widać. KW 1 zakreca w bok i staje. Jest nagle cisza, w której powoli uderza za ścianą grodu żelazne serce motoru. Tak jest spokojnie, że Simonow odsuwa rygle, podnosi kłapę i wychyla się do połowy.

Należący do sprawnego mechanizmu, wychylony w celu zrekonoskowania terenu — czuje raptem, jak ginie otaczający go żelazny pierścień. Do wsi dochodzi góra rozwiną zielono, dołem czarny klin lasu. Kozłowa faliuje ku niemu, iskrząc się w słońcu. A tuż nad jej nurtem, szumiący jak płomień (ale nie płomień pożaru) wznoszą się grupki małe brzożki. Miedzy nimi zbija jest z łaciastych, czarno-białych galezi laweczka. Zda się, że ślady nóżek dziecka drżą jeszcze między żółtymi trawami. Simonow odpywa, znów qubi chwilę, w której jest, rośnie w nim bolesny zachwyt. Wykonuje bezradny gest, którym chce przywołać dziecko — swoje dziecko i ten kąt trawnika, i brzożki, cedzące złote monety przez liście. —

Bardzo bliki wybuch. Odlamki wyją wzdłuż głowy. Pociągnięty przez gniewne go Sieriożę porucznik zanurza się w ciemność.

— Pantery — krzyczy ktoś z przodu ob- sym, potężnym głosem. Głuchow?

Już działa rusza się, korby biegną w swych łożyskach bez szmeru, głowa wie- zyczki skreca w lewo.

Zagrzmiało. Śwad spalonego kordytu rozszedł się we wnętrzu, porucznik na jedno mniemanie spojrzął w dół i dostrzegł w wycinku światła twarz Plewcowa, w czarnym obramowaniu hauby napiętą, jak struna.

Białe oko lunety lekkim ruchem nakrywa dalekie, szare cienie. Radysta woła coś — zarazem czołg wstrząsnął się, wszystko razem zmieszano się i ponalota — kierowca wycisnął serce i chciał przetrząść bieg, ale tryby ugzęzły w sobie. Grzacz warci, cofnął nos. Dźwiękliwy wybuch załomotał odlamkami po panczeru.

— Ruszaj — naprzód! — dudniało w sluchawkach. Zmuszając się wszystkimi siłami do spokoju, przerzucił bieg — wyobraził sobie kąpiące smarem kły zębaki, które zaskoczyły, nagle i KW 1 ruszył. Z miejsca, w którym stał, podnosiły się

raz za razem wlotki gęzery dymu.

Sierioża, niepotrzebny, nieświadomy, ruchami ciała, sprężeniem mięśni i przekleństwami usiłował pomóc tym tam którzy miotali się we wieży. Złoty strumień światła spływał po łusce ogromnego pocisku, kiedy wpół pochylony ładowniczy całym sobą wciskał go w otwarty zamek. Korby biegnęły, działa skakało w tył i zaraz wielka, jak konew, tuszka wypadła za smużącym się dymem.

Porucznik wydał nagle okrzyk. Wszyscy zaczęli krzyżeć dziko zdyszani, pot ciekł między brwiami, zalewał oczy, powietrze piekło ostro i maszyna skakała jak szalona na nierównościach gruntu.

Ale daleki wyblęsk ognia i czarna plama dymu rozlewały się coraz szybciej.

— Jest! jest! — trafiaj!

KW 1 skręca, szoruje gąsienicami, zjeżdża przez opłotki, jakiś parkan trzaska i rozsypuje się kruchymi deskami. Maszyna staje w pobliżu niskiej, niespalonej chaty. Porucznik przyciska oko do lunety. Z okna wychyla się ręka wymachująca czerwonym strzpem.

— Tam jest ktoś — nasi?

Simonow zwraca się do wnętrza:

— Chłopcy, zdaje mi się, że tam ktoś leży — z pewnością ranny. Czy ktoś chce pójść na ochotnika?

Dwie głowy unoszą się ku niemu. Przy kolanach widzi twarz Plewcowa, za nim odrobnie wcześniej wstaje Gałyszkin. Ten myśli: to nie ma żadnego sensu — jesteście pod obstrzałem, porucznik nie działa słusznie. Ale organizator partyjny, aktywista — to obowiązuje. Dlatego wstaje i trochę wrogo, niechętnie patrzy na porucznika.

Plewcow wie, że nie pójdzie. Oczywiście, Gałyszkin zgłosił się pierwszy. Ale trzeba tamto jakoś zamazać — wyzywający i pewny siebie, spogląda w mrok wieży.

Porucznik powiada: Włec idźcie. Plewcow — (gdymy go nie wybrał, mógłby pomysłcie, że nie mam do niego zaufania) — idźcie.

Plewcow odczuwa nagły chłód w policzkach. Pełen zdumienia podnosi się w górę. Wie, że nie pójdzie. Napewno nie pójdzie. A jednak otwiera kłapę, Simonow przepuszcza go i ładowniczy wychyla się w odurzające, wielkie powietrze. Wykonuje wszystko wbrew swojej woli, sam patrzy na ten szalony wybrzyk — chce się cofnąć i krótką chwilę trwa w łuku. Ale przelazi niezrażenie i zeskakuje w dół.

Teraz dopiero widzi, jak olbrzymi jest czołg, szklący się zielonkawą polewą. W twarz zalewa mu liniowy dym spalin. Chwilę stoi — jest cisza. Plewcow rusza, zaciskając gwałtownie szczęki. Oddaliwszy się od maszyny, kurcząc ramiona i garbiąc się w oczekiwaniu ciosu, truchtem dopada drzwi. Otwierają się dziwnie lekko.

Siedzących w czołgu dobiega przez otwarty luk siłomione trzaśnięcie drzwi i głos. Rozdarty wrzask, który nadyma się krwawym bembem i pęką. W powolnym łoskocie motoru pulsuje cisza. Simonow, zdrętwiały, czeka. Nie dzieje się nic. Porucznik chwytając za barki radystę, który usiłował wspiąć się do góry, by wyskoczyć przez luk. Rozumie już wszystko.

— Włączaj, Bogatyriew, krzyczy do mikrofonu. — Głuchow, na chałupę! — i już kręci obiema rękami korby, wieżyczka odwraca się do tyłu, osłaniając sobą działa.

— Ależ towarzyszu — brzęczy siłomio- ny głos — przecież Plewcow. — Gaz do deski! — krzyczy Simonow, a lzw wściekłości występują mu w oczach. Zarazem krótka seria kul, wypuszczonych z chałupy, dzwoni z bezsilną złością po panczeru. KW 1 wspiął się, trysnął w tył gradami ziemi i wyrzwał przodem w ściane. Rozleciały się w ryku motoru belki, trysnęły ulewny piachu, słomy, odlamków. Czołg zmiął wszystko sobą, zakreślił się i stanął. Z ruin, płasko wciśniętych w ziemię, nie dobiega żaden ruch. Złowrogie milczenie jest wokół, i takie samo milczenie w środku.

W tej chwili straszliwa siła zarzuca czołgiem w bok. Huk pęka pod nim, maszyna zatacza się, leci gdzieś. Głowy uderzają o żelazne ściany. KW 1 kręci się w kółko, jak obłąkany, rolki gwizdają i wyją, żelazne człony spadają w tył.

Głuchow wyciska sprężło. Wóz opierając się trochę krzywo na osłatej gąsienicy. Wszystkie spojrzenia biegną ku wieżyczce. Sierioża krzyczy gwałtownie w mikrofon, przerzucając kontakt. Nie odpowiada mu nikt. Towarzyszu Simonow! woła ktoś. To mechanik wstaje, gramoląc się z pomiędzy husek, twarz nasiąkniętą krwią. Strumyczki cieką ze zmiędzonych kości policzkowych. W oczach strach.

— Spokój — nie pali się — skanduje porucznik, ale Bogatyriew już nie słucha. Podnosząc do oczu ręce, obsmarowane własną krwią, wydaie dziwny, ikający odgłos i przepycha się ku przedniemu lukowi. Chwyta zasuwe.

— Stać! — woła porucznik, zeskażując i chwytając mechanika za kombinezon.

Czuje, jak razem z tym napiętym ciałem wysiłkuje mu się władza nad ludźmi. Bogatyriew z twarzą przy czarnym kregu, zamykającym niebo, odpycha porucznika. Widzi już ten ogromny, słoneczny błękit i z krótkim krzykiem podnosi kłapę.

Dźwięk rozciągniętego powietrza i porucznik czuje, jak mięśnie pod grubym kombinezonem opadają.

Wciąga ciało do środka, wpada ono jak worek z mięsem. Luk zapada w ciemność. — Siemion Iwanowicz — woła dowódca — próbuj zjechać w tył.

(To drugi — myśli). Głuchow ostrożnie włącza biegi, motor działa, żelazne serce jeszcze bije. Czołg cofa się, wlokąc zad po ziemi, skręca niezręcznie, sunie coraz prędzej — wiem staję, jak pionowa ściana.

Wszyscy spadają ze swoich miejsc. Czołg zapadł się w rów przeciwpancerowy i stoi tak, wysoki i czarny na tle błękitu. Simonow czuje ból w lewej ręce. Zaczyna szukać kłapy, dłonie błądzą po macaku, nie mogąc odnaleźć rękogięści.

W ten mrok strzela błękitny płomień. Grzmot rozsada bębniaki uszne. Parcie gazów płaszczy dygocące ciała.

Kiedy Simonow budzi się w czerwonej mgłę, leży przytulony twarzą do twardej gliny. Czołg płonie opodal bez blasku, wiejąc niskim dymem. Nad nim pochyla się zaskorupała czarna twarz.

Radysta trząsł porucznikiem, głowa wóprzymionego latała w jego rękach. Bał się pozostać sam. Simonow zajączkał, całe ciało bolało go strasznie. Podniósł palce do twarzy — przywarły do kleistej mazi. Przez nos, policzki, czoło biegnęły rozpryskujące się igły. Sierioża podał mu ma nierkę, do której porucznik nachylił z trudem głowę. Pił długo, chchwie.

— Głuchow? Bogatyriew? spytał wreszcie, oddychając w objęciu radysty, który układał go ostrożnie.

— Nie żyją, tylko my... — granat trafił nas od przedniego luku. Odlamki wyszły im plecami: podsunął pod rozszerzone oczy Simonowa swoją lewą dłoń, zawiązana poplamionymi szmatami.

Porucznik czuł ogromną, rozlewającą się w nim słabość. Gdy unosił głowę, krew spłynęła w dół i zaćmiło mu się w oczach. Mrugnął powiekami i głosem niespodziewanie silnym powiedział:

— to tak — więc gdzie my jesteśmy?

Sierioża przesunął do przodu mapnik, pod którego mełną, celuloidową szybką zlewniały kwadraty planu. Chwilę szukał, wodząc palcem po czerwonych warstwach. Ale niebo ciemniało nad nimi coraz szybciej, jego błękitna wypukłość majaczyła niewyraźnie i głęboko.

— Gdzież za Korolewską... powiedział wreszcie, nakrywając wielkim palcem czarne kółko — ale nie widać już, towarzyszu poruczniku...

— Zaraz, zaraz — Simonow usiłował myśleć ostro i szybko — przejechalimy wieś — potem były te rowy przeciwczołgowe — prawda? a za zagajnikiem zaczęła się strzelanina z panterami — jeżeli front stoi — urwał wstrzymując oddech. Przestrzeń, bardzo wielka, ciemniejsza ku wschodowi, stała szerokim wiatrem. W ci- szej padały dalekie wybuchy. Ogień wylotowy wzmagał się i przygasał na krańcach widnokręgu.

— Zdaje się, że front stoi — widocznie tylko przerwaliśmy się — opadł na brzuch, aż zaniepokojony Sierioża pochylił się ku niemu, ale porucznik oparł się ręką ma o trawę i wstał powoli, z wysiłkiem. Chwał się lekko na nogach. Szum w uszach napływał falami.

— Nie mamy tu co siedzieć, Gałyszkin — trzeba nam iść. Popatrzmy na kompas, przy mocowaniu do przodu. Był on zmiądzłony, czarnosrebrna igła wisiała zmięta jak musze skrzydełko.

— Mielśmy słońce z boku — tędy.

Gałyszkin, zwykle tak energiczny i pełen sprawdzonej, niezawodnej wiedzy, milczał. Obaj ruszyli w cieniu pagórka, okrążając go, aż doszli do czołgu. Pachniało dymem, rozgrzanym lakierem i trupami.

Obaj rozejrzeli się przed wstąpieniem na równą przestrzeń — na tle nieba sylwetki ich czerniały wyraźnie. Czy nie było tu ludzkich oczu?

Ruiny podnosiły się nad wzgórzem czarnymi grupami. Nie słychać było ani szmeru — gdzieś zawył pies i głos ten, tak bardzo przypominający wieś nadwożańską, dodał porucznikowi otuchy.

Musielł przebieść obok czołgu. Nie mogąc się wstrzymać, Simonow chwycił kołnierz wieżyczki, wzmógł z trudem na rękach i zaślądął przez wyrwę, którą utworował pocisk.

Dziura była czarna i wyglądała jak paj- jak, który wyprostowuje odnóża: długie rysy pęknięcia biegnęły w bok. W jądrze ciemności świeciła żółtawa, polyskująca lekko kula. Porucznik zbliżył twarz jeszcze bardziej, westchnął i opadł w dół na ziemię.

— Co tam? zaniepokoj się radysta.

Nic, nic...

W twarz uderzył go trupi, gorący czad:

dojrzał wierzch czaszki Gołuchowa. Kierowca siedział tam, wsparty mocno osmalonymi nogami o pedały i ściskając oburącz dźwignie hamulcowe. Zamiast twarzy... Porucznik wzdręgnął się (— to ja mogłem być —) i ruszył naprzód.

Przeszli razem kilkadziesiąt metrów. Simonow kulał, kilka razy przystawał, dopiero gdy weszli między luźne jeszcze drzewa, ruszył raźniej. Czuli się pewnie, nie zważał na radystę, który tratował z trzaskiem gałęzie dwa kroki z tyłu.

W pewnej chwili Simonowowi coś zaciemniało przez gałęzie — chciał stanąć — oślepił go błysk latarki, zarazem strzał zagrział nad głowami.

— Halt!

Porucznik rzucił się w bok, uderzył kilka razy o pnie, wokół których owijał się, nie tracąc szybkości. Za sobą słyszał wrzaski, strzały, które biczowały gałęzie. Bity po twarzy, biegł w mroku długo, ostatnim wysiłkiem, aż upadł. Długą chwilę chwycił, ikając, powietrze, i trzeźwiwał w miarę jak niski strumień żywicznych woni rozdymał mu płuca.

Zapadła najciemniejsza noc. Simonow wstał i ruszył przed siebie, nie znając kierunku, wyciągniętymi rękami błądził po pniach. Był przekonany, że Gałyszkin nie żyje i pełen wewnętrznej przeczucia, że nadchodzi jego kolej. Usiłował to odrzucić, jako idiotyczne, ale zbyt ciężki otaczał go mrok.

— Dwunastu było muzyków, a nie wrócił ani jeden — wyszeptał. Na czoło wystąpił gęsty lepki pot. Mrok poruszał się, mrowił szelestami, drżenia biegnęły po ziemi.

Ruszył na oślep, ściskając wilgotną ręką kolbę pistoletu.

Czołgiści niemieccy przyprowadzili Gałyszkiną do wsi, obdarzywszy go po drodze kilkoma kopnięciami: Żli byli, że jego towarzyszy umknął. Pytali go o coś, czego nie rozumiał — wśród nich nikt nie znał rosyjskiego. Niczego by się zeszła nie dowiedzieli. Sierioża nie pamiętał, czy zgubił helm, czy też mu go ktoś zerwał — szedł wyprostowany, otoczony przez czarnych tankistów, którzy piastowali swoje krótkie pistolety na paskach, szedł krokami rozkołysanym, z wiatrem we włosach, jak marynarz — rewolucjonista w propagandowym filmie. Przypomniał sobie: „Bronienosiec Potiomkin”. Oczy jego były w ciemnościach szare i jasne. — Przeszedłem próbę żelaza, przejdę próbę krwi — powtarzał obce słowa z jakiegoś wiersza i były one teraz jego własnością.

Wreszcie szturchanicami nakierowali go na jakieś drzwi — ktoś meldował się w środku z trzaskiem, wyszczekując krótkie słowa.

Po chwili drzwi się otworzyły — buchnęło stamtąd światło (skąd cała chałupa w tej ruinie? przemknęło jeszcze Sierioży) i ktoś wpełznął go do środka. W izbie oświetlonej karbidówkami siedziało za stołem dwu oficerów. Po chwili przybiegł tłumacz. Jasnowłosy kapitan o miękkich oczach i ostrej szczęce zaczął go pytać. Padły pierwsze burkliwe, monosylabowe odpowiedzi.

Niemcy spojrzeli na siebie, kapitan, podejmując się jakby nudnego, ale koniecznego obowiązku, wstał i przeszedł na drugą stronę stołu. Niższy, szerokoplecysty Sierioża spojrzął mu uważnie w oczy. Nie było w nich nic — spokojne, błyszczące światła.

— Uebersetzen sie? also wo befinden sich die Reserven? spytał kapitan i zamachnął się do ciosu.

— Nie mamy tu co siedzieć, Gałyszkin — trzeba nam iść. Popatrzmy na kompas, przy mocowaniu do przodu. Był on zmiądzłony, czarnosrebrna igła wisiała zmięta jak musze skrzydełko.

— Mielśmy słońce z boku — tędy.

Gałyszkin, zwykle tak energiczny i pełen sprawdzonej, niezawodnej wiedzy, milczał. Obaj ruszyli w cieniu pagórka, okrążając go, aż doszli do czołgu. Pachniało dymem, rozgrzanym lakierem i trupami.

Obaj rozejrzeli się przed wstąpieniem na równą przestrzeń — na tle nieba sylwetki ich czerniały wyraźnie. Czy nie było tu ludzkich oczu?

Ruiny podnosiły się nad wzgórzem czarnymi grupami. Nie słychać było ani szmeru — gdzieś zawył pies i głos ten, tak bardzo przypominający wieś nadwożańską, dodał porucznikowi otuchy.

Musielł przebieść obok czołgu. Nie mogąc się wstrzymać, Simonow chwycił kołnierz wieżyczki, wzmógł z trudem na rękach i zaślądął przez wyrwę, którą utworował pocisk.

Dziura była czarna i wyglądała jak paj- jak, który wyprostowuje odnóża: długie rysy pęknięcia biegnęły w bok. W jądrze ciemności świeciła żółtawa, polyskująca lekko kula. Porucznik zbliżył twarz jeszcze bardziej, westchnął i opadł w dół na ziemię.

— Co tam? zaniepokoj się radysta.

Nic, nic...

W twarz uderzył go trupi, gorący czad:

Stanisław Lem.

MIECZYSLAW JASTRUN

Na marginesie „Martwej pogody” Staffa*)

Polska krytyka literacka czasów nowych nie wypracowała, jeśli wolno mi o tym sądzić, norm dostatecznie określonych i autorytatywnych. Kiedy czyta się dzisiaj recenzje i studia krytyczne z epoki Młodej Polski, nie można oprzeć się wrażeniu zupełnej dowolności, z jaką krytycy i recenzenci podchodzą do zagadnień literackich. Trudno im niekiedy odmówić daru poetyzowania, trudno nie dziwić się krytykowi, który rywalizuje z Przybyszewskim lub Kaspro-wiczem, przyznać trzeba, niekiedy z powodzeniem. Krytyk-poeta jest zjawiskiem dość częstym również w okresie międzywojennym. Lekceważy on jakiegokolwiek normy, nie czuje się skrepowany żadną poetyką. Nie wiadomo co z tym sposobem pisania poezji o poezji począć. Ani to poezja ani krytyka. Kiedy przeczyta się kilkanaście takich poematów prozą, zaczyna się tęsknić do tych czasów, kiedy stosowano normy ścisłe, zbyt rygorystyczne, ale mieszczące się w jakimś określonym światopoglądzie, w jednoznacz-nym systemie miar i wartości. Klasykom polskim XVIII wieku, z okresu ich najlepszego, zawdzięczał Mickiewicz dyscypliny krytyczne, które sam wobec własnych i cudzych utworów stosował. One to przyczyniły się w dużej mierze do tej klarowności, która cechuje najbardziej romantyczne koncepcje poety. Słowacki w znakomitej recenzji z poezji Zaleskiego posługuje się uromantyczo-ną metodą klasyków. Bada każdy niemal wiersz, analizuje jego treści logiczne, meta-forykę i eufonie. I należy to nareszcie po-wiedzieć: jeden tylko Słowacki w recenzji, która nie ujrzała za życia poety światła dziennego, powiedział prawdę o poezji Za-leskiego.

Jest to jedna z najbardziej fachowych i rzetelnych recenzji, jakie napisano u nas; szkoda, że nie studiują jej krytycy i recenzenci; dla wielu mogłaby być wzorem, choć napisał ją poeta. Poeci nie lubią rozmarzo-nych, rozliryzowanych krytyków. Lubią natomiast ścisłość, trzeźwość i pewność sądu.

W latach międzywojennych krytyka, który chciał oprzeć system swych ocen na trwał-szej zasadzie, który ograniczał pole widze-nia dla spótygowania ostrości wzroku, pomawiano o tępotę i doktrynerstwo. Hulali nato-miast po różnych „Pionach” krytycy-amatorzy, wizjonerzy, bełkotacy o „wizji czer-piącej rację bytu z metafizycznych warto-ści”.

Typ krytyki impresjonistycznej zawiódł ze-pnie w perspektywie czasu.

Nie jestem krytykiem, nie napiszę więc impresji o najstarszym i największym z ży-jących poetów polskich. Nie napiszę o tym, co mi się w poezji Staffa podobało lub nie podobało. Dolożę starań, by uwagi moje wolne były od sentymentu lub zniekształca-jącej twarz poety prywatnej niechęci do tych czy innych objawów jego twórczości. Staff po okresie wielkiej prosperity w cza-sach „Skamandra” nie cieszy się obecnie popularnością; doszło do tego, że jakiś de-biutant określił jego twórczość ostatnią jako blachę pod względem kulturalnym. Ten brak szacunku dla wartości kulturalnych, mimo straszliwych spustoszeń, w obliczu ruin, jest jeszcze jedną pozostałością czasów pogardy.

Sztuka poetycka Staffa jest wielowar-stwowa i niejednolita. Określenie to, w moim pojęciu, nie ma w sobie cech ujemnych. Staff wyszedł z Młodej Polski i pewne wła-ściwości poetyki tego okresu odnaleźć może-my w różnym nasileniu we wszystkich to-mach jego wierszy. Walka z poetyką mo-dernistyczną, poetyką, która przyczyniła się do katastrofального obniżenia poziomu na-szej liryki, prowadzi poetę do klasycyzmu. Sonet „Curriculum vitae” jest może najpe-lniejszym i najbardziej syntetycznym wyra-żeniem tych tendencji. „Śladem stopy antycz-nej” i przekłady „Elegji rzymskich” Goethe-go uzupełniają go i komentują w sposób szczególnie dobitny. Klasycyzm Staffa żywi się zarówno poetami francuskimi XVII wie-ku, których autor „Galezi kwitnącej” tłumaczy, jak i Moréasem „Olimpijskość” Staffa nie obywa się bez wpływów Goethego. Architektura Rzymu i malarstwo renesansowe mieszają się w jego wierszach z pejzażem polskim.

*) Leopold Staff „Martwa pogoda”, Pod znakiem poetów. Wydawnictwo J. Mortkowi-cza. Warszawa — Kraków 1946.



Leopold Staff

Tworzą tu one zespoły harmonijne, po-dobnie jak echa antyczne z motywami ro-dzinnymi w poezji Kochanowskiego, na któ-rego Staff powołuje się niejednokrotnie, i ma do tego większe niż ktokolwiek inny prawo.

Po okresie swego klasycyzmu renesanso-wego przeżywa Staff po swojemu barok, któ-remu daje wyraz najjaszawszy w „Uchu igielnym”. Motywy rokokowe wkraczają do wierszy Staffa, zwłaszcza w „Barwie mło-du”. Jest niezmiennie pod tym względem charakterystyczny wiersz Staffa „Muraz” — „Ludwik szesnasty swego powołania”. War-stwa poetyki symbolicznej czy raczej sym-bolizującej, czerpiąca soki z poprzedników symbolizmu francuskiego, Verlaine’a, a także Baudelaire’a, przechodzi później dość wy-raźnie w szczególnie amalgamat techniki wła-snej z techniką skamandrytów, którym Staff patronował, a którym w końcu w pewnym nieznaczym zresztą stopniu zaczął ulegać. Temperament jednak Staffa był tak od-mienny od „żywiowości” uczniów, że pró-by te nie mogły dać trwałych wyników. Ale jest niezmiennie charakterystyczna dla poety, który nie miał zupełnie zmysłu historycz-ne-go, ta próba uwspółcześnienia swej poezji w granicach środków formalnych.

W jednej z dawniejszych antologii poezji niemieckiej, ułożonej pod kątem dialektyki stylów, nazwisko Goethego występuje w ra-mach stylu klasycznego, realistycznego, ro-kokowego, romantycznego. Gdyby ułożyć po-dobnie pomyślaną antologię poezji polskiej nowszych czasów nazwisko Staffa powtarza-łoby się również często. Skupił on w swoich książkach wszystkie niemal odcienie, w epoce wielkiego rozbitcia form i rodzajów pol-skiej alchemii poetyckiej.

W takim wyborze byłyby rzeczy godne Verlaine’a, byłyby wiersze czarujące jak wspomnienie zasłyszanych w dzieciństwie melodyj, kojące jak pogoda wielkich dni lata. Poezja Staffa nie wstrząsa nigdy, jest równa i przypomina często porę dzieciń-stwa dlatego, że jej serio jest — czujemy to — umowne. Bodaj Irzykowski określił pierwszy Staffa jako mistrza przebrań, re-żysera stanów, które sam przeczuwa, lecz których w pełni nie dzieli. „Jeśli bolesne są już doświadczenia — mówi w jednym z swych wierszy Staff — jakże straszną praw-dą być musi”. Do tej prawdy Staff nie do-ciera i dotrzeć nie pragnie. Jest mistrzem stylizacji. Jest w liryce swej dramatyczny, wydzielając ze siebie różne kreacje, obdarza je tylko cząstką swoich doświadczeń. Jeśli-by „Prawdę i zmyślenie” Goethego w tym duchu interpretować, twórczość Staffa cała jest zmyśleniem. Dlatego, mimo że ta poezja bynajmniej nie jest tylko grą apollinijską, że wielka problematyka humanistyczna nie by-ła jej obca, trudno mówić o humanizmie Staffa, tak jak trudno by było bez nacią-gania mówić o sprawie moralnej „Balladyny”. Staff w o wiele wyższym stopniu niż na przy-kład Leśmian wiąże swoje wiersze z proble-matyką człowieka, brak mu jednak namięt-ności, tej namiętności, która żywi i przenika

każdy utwór Mickiewicza. Nazywano niekie-dy Staffa myślicielem, ale myśli jego, mi-mo że nieraz piękne i poetycko sformułowa-ne, nie mają pasji i głębi, która nasycy najlepsze utwory Norwida.

Zachwalany kiedyś impresjonizm Staffa jest jego najsłabszą stroną. Drobne obserwa-cje, obrazki rodzajowe, jakieś jeszcze jedno przedwiośnie, jakiś jeszcze jeden zachód, czy wschód słońca, choćby na pocztówce z Capri wymalowany, zbyt krótkotrwałe przy-nosi zadowolenie, bawi, rzadko przejmując. Stendhal widział w pięknie jedynie obietnicę szczęścia: „Jest tyle gatunków piękna, ile jest sposobów poszukiwania szczęścia”. Te obietnice szczęścia łagodnego i sielskiego przynosią niektóre wiersze Staffa: „Mię-dzy wzniesioną dłońią a owocem drzew śpi szczęście”. I być może należałoby się ogra-nieżyć do tego stwierdzenia.

Staff zawsze stał zdala od wielkich wstrzą-sów swego czasu. Mówiono o nim, że „kore-sponduje z wiecznością”. Określenie takie zawiera w sobie mimowolny zarzut akademi-ckości i parnasizmu.

„Choćby nie wiedzieć jak wielkim było nasze uwielbienie dla piękna powszechnego, wyrażonego przez poetów i artystów klasycz-nych — powiedział Baudelaire — błądzimy, lekceważąc piękno szczególne, piękno oko-licznosciowe, wyrażające życie obyczajowe pewnej epoki”.

Staff stał zawsze z dala od „piękna oko-licznosciowego”; jeśli w poezji Baudelaire’a odnajdujemy epokę, jeśli można mówić o balzakowskich motywach u poety „Kwiatów zła”, Staff nadto jest akademicki, raczej do Moréasa zbliżony. Jego wiersze o tematyce biblijnej czy antycznej nie mają w sobie ani tej oryginalności, ani potęgi, z jaką przekształcał dawne mity Rilke, uwspółcze-sniając i uczłowiczając je na nowo. „Święty Sebastian” czy „Zatany fresk”, „Venus”, „Anadiomene” czy „Nike z Samotra-ki” — to zaledwie igraszki. Kiedy Rilke do-tykał tych tematów, poruszał ziemię i nie-bo, by wydobyć z nich treść żywą. Staff po-przestaje zazwyczaj na wytwornej stylizacji. Opowiadał kiedyś Orkan, że wiersz o sośnie Wejmuta pisał Staff pod kwitnącą jabło-nią. Staff — wielki zaklinacz pozorów. Je-go wiersze publiczne nie mają większej si-ły. Pisał przecież o roku 1905, pisał o pier-wszej wojnie światowej, a w „Martwej po-godzie” znajdujemy wiersze z czasów oku-pacji. Jednakże temat jest tu obojętny, je-śli nie porusza dość silnie artysty, jeśli z niego nie zdoła wykrzesać wielkiego pio-nienia.

Wobec zjawiska wojny, okupacji, wobec masowej śmierci, wobec zagłady człowieczeń-stwa, poeta staje bezradny, opuszcza go władza słowa. „Zniszczenie pomnika Chopina w Warszawie” czy „Pierwsza przechadzka” świadczą o tym dobitnie. Nie pada na te wiersze nawet najłżejszy odbłask straszliwej prawdy, którą znamy. Również „Zmartwych-wstanie” nie wykracza poza dobrą robotę poetycką. Największy poeta dawnego miesz-czaństwa polskiego nie rozumie języka hi-storii, dialektykę zastępuje psychologią oder-waną, nie zawsze pogłębianą.

„Człowiekam ujrzał i człowieczą duszę!”
mówi ze zgrozą zablakany w świetle współ-czesnym marzyciel. Jedyne wytłumaczenie, jakie znajduje dla „ludzkiej bestii”, dotyka sfer, które są specjalnością teologów: „Tak Bóg opuścił ziemię naszą!”.

Czemuś mi odjął ciemności Tobiasza,
W spełnieniu prośby zbyt skory Aniele,
Którego dotyk ślepotę rozprasza.
Bowiem, przejrzawszy, ujrzałem za wiele.

W istocie, jeśli się widzi tak wiele, nie widzi się nic; jest to ta sfera, o której mó-wi Norwid, „sfera skąd widok stromy”. Poeta mieszczański nie ma już tych wątpli-wości — obraz świata rozpryskuje się w je-go oczach w mozaikę impresyj, nie umiejscow-ionych w czasie historycznym. Jego pro-blematyka moralna sąsiaduje o włos z nastro-jowością i estetyzmem.

Więc jak się wielkie poematy pisze?

Nie kometa mi szastając po niebie —

Tymi wspaniałymi słowami ostatniego w tomie utworu żegna nas arcymistrz, jak że-gnał nas tylekroć w naszej wczesnej młodo-ści, zasłuchanych w jego strofy, zachwyco-nych jakże często i oczarowanych jego spo-kojem i mądrością, która dzisiaj, nie wiem czy sprawiedliwie, wydaje się nam już tylko martwą pogodą.

PAŃSTWOWE ZJEDNOCZENIE

PRZEMYSŁU PIWOWARSKO-SŁODOWNICZEGO

podległe Ministerstwu Apropowizacji i Handlu, Rejon Krakowski
w Krakowie, ul. Kopernika 6, tel. 566-98

Rachunek czekowy w B. G. K. Nr 340 oraz P. K. O. Nr IV-1055

Zrzesza browary:

Okocim, Żywiec, Kraków, Grybów, Zarszyn,
Tarnobrzeg oraz słodownię w Tarnowie

Produkuje piwa jasne 7° i 9°. Znany z dobroci
porter 22° i piwo ciemne 15° z Browarów Okocim-
skiego i Żywieckiego ukażą się wkrótce w sprzedaży.

Czytajcie i prenumerujcie

„KUŹNICĘ”

PRZEGLĄD PRASY

„Przeгляд Socialistyczny” (nr. 3) przynosi z okazji I-go maja artykuł wstępny Juliana Hochfelda „Międzynarodówka”. Autor artykułu zastanawia się nad pytaniem: czy robotnicy mają ojczyznę i dochodzi do wniosku, że wiek XIX dał „dwie sprzeczne tendencje rozwojowe: internacjonalizację gospodarczą i nacjonalizm państwowy. Żadna z tych tendencji nie wróżyła proletariuszowi ojczyzny”. To twierdzenie opiera Hochfeld na wnioskach wyciągniętych z ówczesnej sytuacji proletariatu. „Rzeczywiście nie miał i nie czuł ojczyzny proletariusz pracujący po 14 godz. na dobę nie mający żadnych praw socjalnych, mieszkający w kilkanaście osób po wilgotnych suferkach, wyzyskiwany do niemożliwości, często nie umiejący ani pisać ani czytać, nie korzystający z żadnych elementów dorobku kulturalnego swego narodu”.

Ta obojętność w stosunku do pojęcia „ojczyzna” zmieniła się jednak zasadniczo w okresie emancypacji proletariatu. Proces wzrastania świadomości narodowej rośnie w miarę tego jak proletariusz wywalcza sobie swój często tylko formalny udział, w decydowaniu o losach państwa. Wreszcie — kończy autor ten krótki historyczny rys rozwoju narodowej świadomości proletariatu „w walce narodowej, prowadzonej dzięki szczególnemu zbiegowi wydarzeń głównie przez czynniki socjalnego postępu — rodzić się zaczyna synteza rewolucyjnego nacjonalizmu z antyfaszystowskim internacjonalizmem”.

W dalszym ciągu swego artykułu Julian Hochfeld określając początkową linię rozwoju: od międzynarodówki do ojczyzny, — twierdzi, że wywalczywszy swój pełny udział w ojczyźnie, robotnicy muszą, jeśli chcą udział ten utrwalić i pogłębić, pójść dalej: od ojczyzny do międzynarodówki.

Autor zastanawia się następnie nad sytuacją obecną i dochodzi do wniosku, że „ter. nowy proces kalkujący... dziś dopiero ma szansę rozwoju”. Nowa Międzynarodówka „Jedności Socialistycznej” powinna się dziś stać instrumentem realizacji największego celu: Pokoju”.

Hochfeld podkreśla, że antagonizm dwóch socjalistycznych koncepcji nie utrwałi pokój i domaga się „integracji” tych, tylko na pozór różnych koncepcji”. Podając program działania obu Międzynarodówek — Socialistycznej i Komunistycznej, w okresie międzywojennym. Julian Hochfeld, jeden z czołowych publicystów socialistycznych, stwierdza, że Międzynarodówka Socialistyczna zbankrutowała w chwili, gdy zawiody nadzieje pokładane we współpracy robotników Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec. Pisząc o głębokich zmianach, jakie zaszły w obu partiach, autor tego programowego w pewnym sensie artykułu kończy następująco: „Polska Partia Socialistyczna wysuwa koncepcje stworzenia Międzynarodowego Biura Porozumiewawczego Partii Socialistycznych i Komunistycznych, jako drogi do przyszłej Międzynarodówki Jedności Socialistycznej, drogi do pokoju, drogi do wolności i sprawiedliwości społecznej w skali światowej”.

Polityce wewnętrznej Stanów Zjednoczonych, a zwłaszcza zmianom, jakie nastąpiły po wyborze następcy Roosevelta — Trumana — poświęca swój artykuł Wiktor E. Preiss („Dokąd zmierzają Stany Zjednoczone”).

Wacław Zawadzki pisze o projektowanym nowym planie pięcioletnim w ZSRR. Do artykułu („Pięcioletnia odbudowa i przebudowa 1946 — 1950”) dołączona jest tabelka obejmująca rozmaite pozycje produkcji i cyfry produkcji planowanej w roku 1950. Olszerny dział not „Na horyzoncie” redagowany jest interesująco. Oddzielne kroniki poświęcono sprawom Związku Radzieckiego, Europy Zachodniej, krajom pozaeuropejskim. Poza omówionymi artykułami znajdujemy w tym numerze inne prace, dotyczące różnorodnych dziedzin, a świadczące o żywym wkładzie myśli socialistycznej w gospodarce i kulturalne życie kraju. W sumie „Przeгляд Socialistyczny” istotnie daje nam przegląd najważniejszych zagadnień politycznych i ekonomicznych kraju i świata w oświetleniu najwybitniejszych publicystów socialistycznych.

W nowym (3 — 4) numerze warszawskiego „Lewego Toru” Wacław Bielecki zamieszcza dalszy ciąg omawianego już przez nas w przeglądzie prasy studium o „Starej i nowej demokracji”. W kolejnej, czwartej części szkicu autor analizuje dokładnie istotę naszego obecnego ustroju. Podając uprzednio definicję ustroju socialistycznego, stwierdza, że nasz obecny ustrój nim nie jest. Określa go jako „demokrację ludową”, różniącą się zarówno od demokracji mieszczańskiej, jak i od demokracji proletariackiej. Nasz ustrój — pisze Bielecki — to „nowy typ państwa demokratycznego, w którym proletariatu dzieł władze ze swymi sojusznikami to znaczy „z chłopstwem, drobnomieszczaństwem, inteligencją pracującą i z demokratyczną częścią burżuazji”.

W bieżącym numerze „Lewego Toru” jedynego do niedawna literackiego pisma warszawskiego nie znajdujemy niestety, działu kronik — ani miejscowej, warszawskiej ani

ogólnokrajowej. Natomiast numer wypełniony jest literackimi reportażami typu wspomnień, niekiedy bardzo pretensjonalnymi stylistycznie (Roman Bratny: Zemsta).

Franciszek Bartnicki zamieszcza wspomnienie o Stanisławie Licińskim, zapomnianym dziś pisarzu z okresu modernizmu. Niestety, autor artykułu nie ustrzegł się zbytnej emfazy i za pominiął o dystansie, jaki dzieli nas od stylu Młodej Polski. Dlatego zdanie o niezmiernie interesującym zjawisku, jakim niewątpliwie w okresie modernistycznym był Ludwik S. Liciński, wypowiedziane przez autora artykułu, p. Bartnickiego: „Można go (Licińskiego — przyp. nasz) porównać z takimi duchami jak Walt Whitman, Lew Tolstoj, Multatuli” psuje bardzo obraz poety. Takie porównania najszybciej zawodzą i budzą nieufność do ich autora.

Setną rocznicę urodzin Henryka Sienkiewicza uczciły pisma katolickie jak „Tygodnik Warszawski” i „Tygodnik Powszechny”. Artykuły poświęcone Sienkiewiczowi w obu pismach są peanami na cześć autora „Trylogii” bez jakichkolwiek prób rewizji. Celuje zwłaszcza w tym konwencjonalnym uwielbieniu „Tygodnik Warszawski”. Natomiast najciekawsze są niewątpliwie ogłoszone z okazji rocznicy inedita znakomitego pisarza. Tak więc w „Tygodniku Powszechnym” ogłoszo-

no kilka listów Sienkiewicza do Konstantego Górskiego, zaś w „Tygodniku Warszawskim” (nr. 20) — nieznanie aforyzmy.

„Dziś i jutro” (nr. 19) zamieszcza artykuł wstępny Jana Dobraczyńskiego „Znaki czasu”. Artykuł ten jest znamienity dla pisma, uważającego się za naczelny organ grupy radykalnych katolików.

P. Dobraczyński zastanawia się nad naszą epoką, nad konsekwencjami rozwoju techniki i dochodzi do wniosków katastroficznych. Chętnie zresztą się do tego przyznaje, starając się nam napędzić strachu po to tylko, byśmy bezradni, zgodzili się wreszcie na zalecenia przez niego receptę. Z niecierpliwością weryfikujemy artykuł, przekonani, że w zakończeniu p. Dobraczyński da jakiś konkretny przepis na uratowanie ludzkości przed groźną jej katastrofą. Niestety! Dowiadujemy się tylko rzeczy przedziwnych, z pogranicza mityki, nie mających nic wspólnego z konkretnym przepisem.

P. Dobraczyński pisze, że postęp wiedzy jest szybszy niż proces wewnętrznej przemiany człowieka. Ale p. Dobraczyński wróżąc z tego groźną nam katastrofę, robi zasadniczy błąd. Mógł, że ten powolny proces wewnętrzny jest niezależny od warunków zewnętrznych. Każę nam wierzyć, że znaki naszego czasu są inne i powołuje się na objawienia w Lourdes, w Fatima i w Lagiewnikach. Każę nam wierzyć, co gorsza, że bomba atomowa w rękach „murzyna ze środkowej Afryki

zmieść może... miasta europejskie”, ale zapomina, że bomba atomowa nie dostanie się w ręce murzyna, bo spoczywa dziś w rękach tych samych, w których spoczywa los tego rzekomo groźnego murzyna. P. Dobraczyński wykreca kota ogonem i zrzuca odpowiedzialność z tych, którzy opóźniają proces wewnętrznej przemiany człowieka, sprzeciwiając się i zdrowemu rozsądkowi i historii, na zrekowaną nieproporcjonalność rozwoju techniki i „postępu moralnego” człowieka. Gorzej, p. Dobraczyński przypuszcza, że ten moralny postęp człowieka nie zależy od samego człowieka, tylko będzie nam zesłany z góry.

Głęboko szanując każdą wiarę, pozwalamy sobie jednak wyrazić wątpliwość, czy radykalni katolicy powinni ograniczyć się do odnawiania „znaków czasu” tylko i wyłącznie w objawieniach nadprzyrodzonych. Sądymy bowiem, że radykalni katolicy tym właśnie różnią się od nieradykalnych katolików, że chcą realizować program sprawiedliwości: społecznej środkami racjonalnymi i ziemskimi. W tym dążeniu radykalni katolicy pozostają we wspólnym obozie demokracji ludowej.

Katastroficzne prorocтва p. Dobraczyńskiego według którego uratować nas może ostatecznej zagłady tylko nadprzyrodzone „znaki czasu”, każę nam zastanowić się nad tym, czy radykalni katolicy w Polsce naprawdę nie widzą innych dróg do ocalenia świata, czy też ich widzieć nie chcą?

ph

O książce St. Tołwińskiego

Stan. Tołwiński: Zagadnienie samorządu w świetle doświadczeń demokracji ludowej. Spółdzielca Wydawnicza „Czytelnik” 1946, str. VIII — 128.

Czytelnik biorący do ręki książkę Tołwińskiego, oczekujący rozważań na ściśle ustalony temat, zostaje zaskoczony już po przejrzeniu wykazu treści, a lektura pozwoli mu rychło stwierdzić, że zamieścił oczekiwanych wywodów o samorządzie w obiegowym tego słowa znaczeniu, ma przed sobą obszerny traktat społeczno-polityczny. I to traktat zawierający nie tylko naukowe studium faktów i techniczne uwagi fachowca praktyka. Jest to traktat zupełnie innego rodzaju, gdyż „Autorowi chodziło o to przede wszystkim, aby młodym i wartościowym uczestnikom „ruchu (spółdzielczego), stawić przed oczyma śmiałą i konsekwentną wizję przyszłości w okresie, kiedy kształtować się będzie Nowa Polska Demokratyczna”. Przytoczone zdanie najlepiej charakteryzuje sens książki — jest to wizja, projektowana przez reformatora społecznego który jednakże szuka dla niej oparcia zarówno w nauce społecznej, jak i doświadczeniach ruchów społecznych.

Czym jest samorząd w koncepcji Tołwińskiego? Tradycyjna koncepcja samorządu terytorialnego zostaje tu zupełnie odrzucona, natomiast Autor wypracowuje nowy pogląd na samorząd jako specyficzną więź społeczną, opartą na czynniku wzajemnej pomocy, stopniowo zorganizowaną na podstawie wielokrotniejszy terytorialnych, wiążącą ludzi dla współdziałania przy zaspokajaniu potrzeb i organizowaniu pracy, a zarazem realizującą harmonijnie i bez reszty ideały demokracji ludowej w społeczeństwie klasowo jednorodnym. Koncepcja Autora opiera się na trzech pojęciach podstawowych: samorząd, współdziałanie, demokracja. Najważniejszym jest pojęcie współdziałania, przy czym dla Autora ważne jest tylko współdziałanie, którego istotą i motywem naczelnym jest pomoc wzajemna. Tę myśl Autor podkreśla wielokrotnie i z naciskiem. Samorząd „rozwinąć się może tylko w grupach o jednorodnych dążeniach i w interesach, opartych na pomocy wzajemnej” (str. 11). „Samorząd jest organicznie związany z praktyką instytucji i urządzeń ludzkich, opartych na pomocy wzajemnej w jednorodnej pod względem interesów ekonomicznych gromadzie” (str. 12). „Organizm społeczny może funkcjonować, rozwijając swe wewnętrzne organy, swój samorząd, w oparciu o jednolity czynnik — pomoc wzajemną” (str. 13). „Spróbujmy zastanowić się, czy połączenie wysiłków organizacji z ducha pomocy wzajemnej czerpiących swoje soki życiowe w dzisiejszym rozproszonym społeczeństwie może doprowadzić nas do wykształcenia jednolitego ustroju organizmu społecznego, którego istotną cechą będzie współdziałanie poszczególnych organów i wynikający z tego współdziałania samorząd” (str. 17).

Samorząd nie jest możliwy w „społeczeństwach antagonicznych”. Nie ma mowy o takim samorządzie tam, gdzie ścierają się interesy klasowe, i gdzie klasy ekonomicznie silniejsze mają możność wyzyskiwania klas ekonomicznie słabszych. Stąd płynie założenie koncepcji Tołwińskiego, że realizacja jego koncepcji

self samorządu musi iść w parze lub musi być poprzedzona realizacją demokracji ekonomicznej, zniesieniem klas wyzyskujących i położeniem ekonomicznych podstaw pod możliwość utworzenia społeczeństwa jednoklasowego. Walka klas uniemożliwia z góry wszelką myśl o oparciu współdziałania o czynniki pomocy wzajemnej, gdyż może ona najwyżej dopuszczać te formy współdziałania które są wynikiem egoistycznego kompromisu w dążeniu do uzyskania maksymalnych korzyści własnych.

Nasuwa się tu zasadnicze pytanie, które Autor postawił, a którego, jak sądzę nie rozważył we wszystkich jego konsekwencjach, pytanie o motyw działalności. Co może skłaniać ludzi do współdziałania opartego na wzajemnej pomocy? Czyż pomoc wzajemna jest motywem dostatecznie przekonującym sama przez się, żeby zapewnić sprawny przebieg współdziałania? Oczywiście praca dla wszystkich jest również pracą dla siebie, można wymienić szereg „korzyści”, płynących z pomagania sobie w harmonijnym zorganizowaniu pracy i zaspokajaniu potrzeb: można również wskazać na istnienie wrodzonego popędu do niesienia pomocy (znaczenie tego popędu podkreśla również Vierkant w swojej Socjologii) lecz w książce Tołwińskiego problem został raczej zwięźle ominięty niż rozwiązany. Autor stawia pytanie wyraźne: „Czy możliwe jest jednak usunięcie sprzeczności interesów, protekcyjizmu, dążenia do osiągnięcia korzyści własnych kosztem innych? Wiemy, że praktyka wykazuje nam liczne przykłady wypaczeń, rozkładu, upadku instytucji, opartych na pomocy wzajemnej. Czy — innymi słowy — czynnik ten może zdobyć sobie dominujące stanowisko, odsunąć na drugi plan działanie innych czynników, czy jest dostatecznie ugruntowany w naturze ludzkiej, aby zapewnić sobie całkowite zwycięstwo, upowszechnienie?”. Natychmiast cytując Kropotkina może przekonać równie natychmiast optymistów i odpowiedź jaką Autor daje na postawione pytanie, jest właśnie przyznaniem się do optymizmu Kropotkina, lecz ta odpowiedź nie jest uzasadnieniem i sama domaga się uzasadnienia.

Sprawa realizacji samorządu jest sprawą przebudowy ustroju społecznego, od obecnego „antagonistycznego” społeczeństwa wieloklasowego, do „organicznego” społeczeństwa jednoklasowego, zorganizowanego na zasadzie współdziałania i pomocy wzajemnej. Okres przejściowy kryje w sobie szczególnie niebezpieczeństwo, które Autor również zauważa, lecz skłonny jest raczej go nie doceniać. Mam na myśli rolę biurokracji. Autor pisze: „Od przeżności i odwagi organizacyjnej instytucji gospodarczych i społecznych tych klas (proletariat miejski i wiejski i inteligencja zawodowa) zależy, czy aparatura pomocnicza, niezbędna w okresie walki o nowy ustrój polityczny i społeczny utrzymać się będzie musiała dłużej czy krócej, czy jej rola pomocnicza nie przybierze formy mniej lub więcej trwałego przewodnictwa biurokracji, tak niebezpiecznej dla każdego istotnego samorządu mas ludowych. „Niebezpieczeństwo to wynika z natury samej biurokracji. Wszelka biurokracja utworzona jako

narzędzie pewnej techniki panowania, zawsze przejawia tendencje (historycznie najczęściej zwyrodniskie) do wyłamania się spod kontroli zwierzchności. Ten proces emancypacji biurokracji dokonuje się przez rozbudowę aparatu i przez różnicowanie i komplikowanie warunków pracy, w których może się zorientować jedynie odpowiednio wyszkolony fachowiec. W końcu grupa fachowych biurokratów wytwarza własną „ideologię niezbędności” i swoje „fachowe” myślenie światopoglądowe” (terminologia T. Geigera). Niebezpieczeństwo „managerial revolution” — niebezpieczeństwo jakie grozi wszelkim ruchom i ideologiom społecznym od strony wyemancypowanej biurokracji grozi również i demokracji ludowej, tym większe, że klasy obejmujące władzę są bardziej jeszcze niż liberalne mieszczaństwo skazane na pomoc aparatów biurokracji partyjnej i państwowej. Podporządkowanie biurokracji, oznacza praktycznie koniec współdziałania opartego na pomocy wzajemnej.

Zasadniczy pomysł Autora jest prosty: rozbudować więź społeczną, łączącą najmniejsze skupienia terytorialne, oprócz organizację życia społecznego na zasadniczych funkcjach życia ludzkiego i w ten sposób dojść do harmonijnego ustroju, eli minującego walki i tarcia międzyklasowe, obejmującego cały naród. Równoległe z tą organizacją funkcjonalną zaspokajania potrzeb rozwija się ściśle jej odpowiadająca struktura organizacji pracy.

Nie jest moim zadaniem omawianie w szczegółach i dyskutowanie całej bogatej problematyki, zawartej w tej książce. Wy sunęłam tylko dwie wątpliwości dotyczące pojęć podstawowych pomocy wzajemnej i współdziałania. Lecz książka Tołwińskiego ma jeszcze jedno wielkie znaczenie, mianowicie daje konkretny zarys ustroju demokracji ludowej. Wprawdzie sądzę, że tytuł powinien raczej brzmieć „w świetle zamierzeń demokracji ludowej”, gdyż o doświadczeniach wedle stwierdzenia samego autora w książce nie wiele jest mowy. Niemniej jednakże wyrażam nadzieję, że w zasadniczym zarysie demokracji ludowej nie w świetle propagandowych ogólników lecz w najbardziej szkieletu społecznej struktury państwa.

Książka domaga się szerokiej dyskusji. Jest ona zaskakująca nie tylko pewną nie współmiernością między tytułem a treścią, lecz przede wszystkim zaskakującą odwagą Autora, przedstawiającego piękną wizję wiary wartości człowieka, w czasach i w świecie, gdzie ta wiara została wstrząśnięta w sposób najgłębszy. Być może, że „managers”, fachowcy i kierownicy zarzucają mu utopijność i nierealność przedstawionej koncepcji, książka jednakże spełnia swój cel bez reszty. Daje wizję nowego porządku spraw społecznych, apeluje do wartości moralnych, odwagi i wiary w człowieka. Dlatego powi: na się rozejść szeroko. Ze względu na walory moralne, jakie leżą u podstaw jej koncepcji merytorycznej. Bo najważniejszą sprawą w realizacji tej koncepcji, jest sprawa niedopuszczenia do znieszczenia jej intencji moralnych przez wykonawczy aparat pomocniczy.

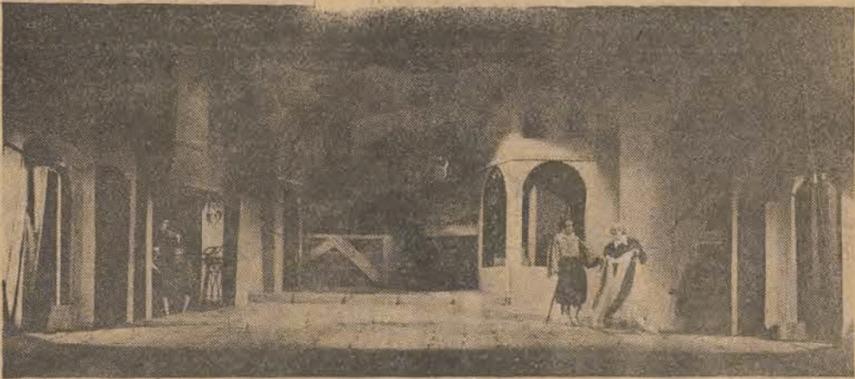
Jan Szczepański

1) James Burnham: The Managerial Revolution. 1941.

Z teatrów

JAN ROJEWSKI

Siedem dni



Scena z aktu II „Szelmstwa Skapena” Moliera.

„Szelmstwa Skapena”

Wszystko, co tylko można było wydobyć z tej nienajlepszej, nawet wręcz banalnej komedii Moliera, aby stworzyć z niej widowisko miłe i niebanalne — łódzki Teatr Powszechny TUR wydobyl z powodzeniem. To trzeba przyznać bez względu na powstające jednocześnie (i nie po raz pierwszy) pytanie, czy repertuar tego teatru nigdy nie wyjdzie poza swoje jedyne — a nazbyt wąskie jak na obecny moment historii — pragnienie rozbawiania publiczności i tylko rozbawiania. Jeżeli jednak rzeczywiście nie ma na to rady (a szkoda), to przynajmniej cieszyć się należy, że owo rozbawianie w tym widowisku — w przeciwieństwie do niedawnych przedstawień „Mariusza” — odbywa się w atmosferze dobrego smaku.

„Szelmstwa Skapena” — zachowując pieczołowicie zarówno wszystkie znaczenia o charakterze satyrycznym, jak i wszystkie bzdury w treści tej komedii zawarte — przesunięto w sferę barwnej, groteskowej baśni. Zamknięto to też naiwne „szelmstwa” w ramy dla nich najwłaściwsze: w naiwność.

Ta naiwność form teatralnych, użytych w tym widowisku, skonstruowana została przez inscenizatorów w sposób dobrze przemyślany i konsekwentny. Poczynając od sceny „zaprezentowania” przed publicznością postaci komedii, a kończąc na scenie, w której Skapen zasiada przy groteskowym „stole biesiadnym”, poprzez kolejne sytuacje, zabawnie uplastycznione i udźwiękowione — wszystko zamyka się w całość bardzo w swym charakterze jednolitą, w całości, w której prawie nie ma zgrzytów.

I od tej to strony widowisko jest niewątpliwie doskonale. Inwencja, twórczość teatralna nowego łódzkiego reżysera, Józefa Wyszomirskiego, ujawniła się w sposób wyraźny i pełny: ten reżyser nie chowa się nieśmiało za kartkami tekstu, przeciwnie — ze świadomym zdecydowaniem sam buduje widowisko. Buduje je tu z pomocą dekoratora i kompozytora, których współpracę całkowicie wydobywa i podkreśla koncepcję inscenizacyjną. Plastyczną budowę sceny (dekoracje) rozwiązał Otto Aker — przy tym ogólnym założeniu groteskowego ujęcia całości — na tak wysokim poziomie artystycznym, jakiego dotychczas jeszcze chyba nie widzieliśmy w powojennym teatrze łódzkim. Muzyka Mieczysława Mierzejewskiego okazała się tak logicznie związana ze wszystkim, co się dzieje na scenie, że widać ją było w ruchach i gestach aktorów nawet wtedy, gdy bezpośrednio nie grała. Zastęga w tym wielka i aktorów, z których na ogół wszyscy dobrze zrozumieli założenie inscenizacji i swoje w niej zadania: współpracowali harmonijnie i współtworzyli całość.

Wiosenne Rewierendum

Pod takim to tytułem ogólnym Teatr Syrena prezentuje obecnie co wieczór swój kabaretowy program. Mam co do tego tytułu niejaki zastrzeżenia: Mianowicie jakkolwiek na pewno nie posiadamy żadnych skłonności „cenzorskich” w ogóle, a już na pewno nie w stosunku do satyry i humoru, to jednak takie skarykaturowanie słowa, obelżenie w tej chwili niebylejaka wagą historyczną, uważam za posunięcie niesmaczne i niezbyt odpowiednie. Dziwne braku nam — w tym kraju — poczucia taktu: Albo zapędzamy się w przesadną patetyczność, albo w równie przesadną drwinę. Jestem przekonany, że — poza tym krajem — w takim momencie nie skarykaturowano by takiego słowa nigdzie dzisiaj na świecie.

Ale ta drobna uwaga — to jest na ogół jedyna uwaga przykra. Obecny program Syreny

W poprzednim (20) numerze „Kuznicy” z dnia 27 maja 1946 r.: Józef Chałasiński: Socjologia i historia inteligencji polskiej. — St. Ryszard Dobrowolski: Nasz czas. — Ryszard Matuszewski: Spacer nad Wisłą — Żolibórz. — K. W. Zawodźniński: TYXH czyli o lekturach wojennych. — Mieczysław Włoczek: Skiepi wypalony na żużel. — Jan Brzechwa: O reformę prawa autorskiego. — Czytamy listy: Na temat pamfletu „O młodszym bracie”. — Czesław Miłosz: O kilku filmach. — Janina Broniewska: Książki dla dzieci. — T-wo Lit. im. A. Mickiewicza: Zjazd naukowo-literacki im. B. Prusa. — Leon Pasternak: Rzeź niewiniątek. — Jan Szczępański: Nowe książki. — Wynik konkursu. — ph: Przegląd prasy. — Mariusz Margal: Nowe wydawnictwa. — fb: Przegląd wydawnictw. — Noty. — Korespondencja.

— wyraźnie lepszy od poprzednich — przypomina najlepsze czasy warszawskiego „Qui Pro Quo”, czasy sprzed 1930 roku. Przy czym nie wskazuje tu na naśladowanie. Porównuje tylko poziom. Poszczególne numery kabaretowe obecnego programu Syreny mają swój własny charakter. I prawie zupełnie inne typy aktorów, co w kabarecie decydująco wpływa na rodzaj scen.

Teksty przeważnie dobre lub nawet w pewnych wypadkach bardzo dobre. Przyjemnie zorganizowana scena „Montmartre”, zabawny „Przewrót w Kłapucinie” doskonale dowcipna „Piosenka o moim Harrisie”, uroczy „Sad” pióra Jurandota, a świetnie przez aktorów zagrane, wreszcie wspaniała piosenka „Jenny, kochanka piratów”, opracowana przez Broniewskiego, a śpiewana przez Gosławską, która zresztą we wszystkich swoich piosenkach stoi na tak wysokim poziomie artystycznym i przy tym — dodać muszę — tak jest na scenie miła, że trudno by było opuścić ten kabaret z niezadowolaniem.

I jeszcze o duetce Sutt: Wyznać muszę, że nigdy nie lubiłem zbyt wielu numerów tanecznych „z łamańcami”. Ale ta para robi to jakoś wyjątkowo lekko i subtelnie.

Juliusz Żuławski.

Zastrzeliłem Remarque'a

Wojna ostatnia, którą niedawno zbiegami okoliczności udało się nam przeżyć, nie wydała dotąd swego wielkiego piewcy. U nas przynajmniej, poza Kaawerem Pruszyńskim i Januszem Meisnerem, nikt chyba nie podjął próby napisania o minionej wojnie i jej żołnierzu. Przyjdzie na książkę tego rodzaju poczekać. Myślę, że daremne to czekanie nie będzie. Dobry, stary, wojenny obyczaj każe wajdelotom zasiadać u obozowych ognisk.

Tymczasem w celach retrospektywnych sięgnięciem po Remarque'a pomny na zamęt, jaki swego czasu opowieści jego wywołały. Czytałem Remarque'a bardzo dawno — przed wojną. Pozostało mi także w pamięci jak żył koszar z czasów dzieciństwa, wspomnienie filmu, osnutego na fabule opowieści: „Na zachodzie bez zmian”. Pamiętam, że opuszczałem wówczas salę kina zupełnie przytłoczony przeżeniem i nienawiścią do złych ludzi powodujących beznadziejną i potworną rzeź.

Przeczytałem teraz oto „Na zachodzie bez zmian”, doroslejszy o całą wojnę. Byłem żołnierzem. Fakt ten jednak nie pomógł mi bynajmniej do nawiązania kontaktu z autorem. Świat jego doznał pozostał mi prawie obcy a po przeczytaniu książki pozostało jako pogłos lektury uczucie odrzuty, dominujące. Pewnej dzidyście nocy, idąc postrzeloną przez artylerię ulicą małego miasteczka, wdepnąłem w rozduszonego przez czołg trupa. To było prawie to samo. „Książka ta nie ma być oskarżeniem ani też wyznaniem. Ma tylko podjąć próbę udzielenia wieści o pokoleniu, które wojna zniszczyła — nawet gdy uchroniło się przed jej granatami” — pisze Remarque i z miejsca zanurza czytelnika głową w piekielnym tygrylu, w którym przetapia się na szalenstwo: strach, zbydlęcenie, beznadziejność. Remarque głosi wieści o pokoleniu zniszczonym przez wojnę. Cuchną te wieści wszelakim wojennym smrodem. Cuchną trupami w zasiakach, chlorem w strzeleczkach rowach, ropą i karbolem szpitali, latryną i burdelem zaplecza. Dygocą te wieści trwoga bombardowania artyleryjskiego. Pokolenie Remarque'a ginie w walce, która nie jest walką a rezultatem krańcowego otepienia. Śmierć przedstawicieli tego pokolenia jest śmiercią zgonionych do utraty tchu zwierząt.

Kto winien? — Kantorek — maly profesor o mysiej twarzy — zadzierzasty hurra patriotą. On to, nie kto inny, zgnął z matczynych piernatów najwspanialszych osiemnastoletnich swych uczni i powiódł w otchłań udreczenia i zagłady... Wieści o zaginionym pokoleniu...

Nie przemawiają już do mnie. Nie mogę już nawet współczuć. Niecierpliwą mnie one jak natrętność żebra. Remarque przyrzekł trupowi zecera Gerarda Duvala, którego uprzednio wprawnie zadłgał nożem, że gdy ocalałe będzie walczył z wojną. I walczył. Ze wszelkiego zła jakim mogła obdarować swego żołnierza pierwsza wojna światowa ugniół on pigułę i wystrzelił jak ostatni salut nad wypatroszonym przez ogień artyleryjski mogiłami swych towarzyszy. Wystrzelił i trafił w okno drobniomieszczańskiej siedziby. I oto mieszczech zapał się za głowę i zachwył. Przerazenie skaziło zażywe lica. Czoło zmarszczyła głęboka troska. W międzywojennych czasach, wśród rodzimych oledrudków, w atmosferze pluszowej kanapy rodził się chłwy pacyfizm. „Po co zaraz wojna?... Ja-

Dzisiaj, kiedy propaganda doczekała się na całym świecie swoich ministrów, ministerstw, resortów, szefów, telefonów, sekretarek, samochodów i ciężkich milionów w budżetach państwowych, nie od rzeczy będzie zauważyć, że matka tej rozrzuconej milionerki jest rozumna, skąpa i praktyczna... reklama. Propaganda przypomina marnotrawnych potomków pewnego przemysłowca, którzy w luksusie i komforcie zniszczyli to wszystko, co ojciec wypracował w czterech ścianach swego pokoju. Bo, o ile każda jego decyzja poprzedzała głęboki namysł i sakramentalne pytanie, czy dane posunięcie przyniesie dochód, czy nie, o tyle jego potomkowie zatracili zmysł celowości; podobnie jak ów kolejarz, który zapytany po co obstukuje koła wagonów żelaznym młotkiem, odparł: „Kiedyś wiedziałem, ale już nie pamiętam”. Propagandyści zapomnieli, że reklama, matka propagandy jest sztuką przekonywania i zjednywania, że pierwszym warunkiem propagandy jest jej skuteczność. Razi to tym bardziej dzisiaj w dobie realizmu i empiryzmu. Propagandę należy sprawdzać na jej obiektach. Nie dość jest powtarzać mechanicznie parę błaznych terminów, przeciwstawić bez końca białe czernemu, czynniki i masy — elementom i żywiołom, z przydomkiem „postępowy” dla mas i czynników, „reakcyjny” dla elementów i żywiołów. O skuteczności propagandy decyduje reakcja tych mas i żywiołów. Na dobrą propagandę masy reagują sympatią, a żywioły — wściekłością. Na złą — i masy i żywioły kpią, które „elementy” wykorzystują na niekorzyść „czynników”, co w rezultacie uszcza. pla szeregi „mas” i zwiększa zastępy „żywiołów”. Niestety, najczęstszą reakcją na hurra propagandę w większości naszych gazet i plakatów są... kpiny. Czuję się przez papier armię ponurych skrybów, pozbawionych poczucia własnego komizmu, cudzego humoru i wartości cudzego... pieniądza. Nie jest oczywiście rzeczą przypadkową, że „Robotnik” redagowany przez satyryka jest najlepszym obecnie piśmie codziennym. Najważniejsza jest świadomość tego co skuteczne. Jako realista lubię przykłady:

1. W referendum francuskim prawica odrzuciła przewagą 6 proc. głosujących projekt nowej konstytucji. Jeśli uwzględnić radykalny charakter projektowanych reform i zależność ekonomiczną Francji od anglo-amerykańskiej finansjery — referendum świadczy o wielkiej sile francuskiej lewicy. „Robotnik” powiedział to w jednym zdaniu: „Czterdzieści siedem procent Francuzów powiedziało tak”. Każdy robotnik zrozumiał „Robotnika”. Jeśli robotnik miał czas i cierpliwość mógł się dowiedzieć z artykułu redakcyjnego pisma bliższych szczegółów i przyczyn tego prawdziwego, nie sfalszowanego faktu. Jednocześnie „Dziennik Łódzki”, który nie jest piśmie PSL-u ani Kurii Biskupiej, zawiadomił swoich czytelników w wielkim nagłówku, że: „Francja powiedziała nie!”. Tak samo napisała „Gazeta Ludowa”. Z tą różnicą, że organ PSL-u ma uzasadnione powody do tendencyjnego utafsamiania 53 proc. głosujących z całym narodem francuskim, a „Dziennik Łódzki” — nie.

2. Hasło „Po pracy odpoczywaj w kinie” jest typowym przykładem belkotu propagandowego, o odwrotnym do „zjednywania” i „przekonywania” skutku. Źródło kpiny i dowcipów. Charakterystyczny przykład lekceważenia celowości hasła i poczucia humoru odbiorcy propagandy. Zachłystywanie się pięknym frazesem. Czyż nie należało zastosować metodę doświadczenia i zapytać o zdanie publiczność. W rezultacie zamiast wyżej wspomnianego hasła umieszczonoby celem złagodzenia dantejskich scen przed kasą napis „kto późno przychodzi sam sobie szkodzi”. Wiedziaby przynajmniej człowiek, że trzeba wcześniej wykupić bilety, bo w kinie tłok. A tak co? Stajesz z rozzerwany kmierykiem, ale bez biletu przed afiszem i zły potem czytasz: „po pracy odpoczywaj w kinie”. Mniej opanowani obywatele, jak Kisielewski, dostają ataku furii, łamią zęby i paznokcie na znieławidzonym plakacie. — bardziej opanowani kpią, a złośliwi utafsamiąją z premedytacją to hasło z wszystkimi hasłami, kinofikację z... demokracją.

NA MARGINESIE PRZEDŁOŻEŃ BUDŻETOWYCH

W ostatnich miesiącach 1945 r. — a więc w pół roku po zakończeniu wojny — ułarło się wśród naszych „intelektualnych emigrantów wewnętrznych” narzekanie, iż nowy budżet oświaty był niższy aniżeli sanacyjny, a w szeregu pozycji wydatków państwowych zajmował ostatnie miejsce.

Powojenny plan wydatków państwowych układano pod znakiem koniecznych inwestycji, które w pierwszym rzędzie dotyczyły gospodarki: przemysłu, kolei, poczty, rolnictwa. Oczywiście w takim budżecie inwestycyjnym wydatki oświatowe musiały zajmować mniej wydatna pozycję, aniżeli w budżecie z lat przed 1939. Tamte budżety były bowiem węgietacyjne, o inwestycjach takich jakie podjęliśmy w 1945 r. nawet się nie śniło. Na te argumentacje nasi malkontenci byli głusi.

A wystarczy, zestawić cyfry wydatków na inwestycje w milionach złotych:

W roku 1928/29 wydano 2.895 t.j. 40% wydatków państwowych.

W roku 1934/35 wydano 2.305 t.j. 26% wydatków państwowych.

Razem od roku 1929 do 38 wydano 29.143 t.j. 33,6% wydatków państwowych.

Tymczasem II—IV kwartał 1946 r. wydano 76.736 t.j. 50,4% wydatków państwowych, a wraz z dostawami zagranicznymi II—IV 1946 wydano 90.236 t.j. 56,7% wydatków państwowych. (Cyfry przy tym z 1946 r. nie obejmują wydatków inwestycyjnych wojska).

Te cyfry miały tłumaczyć trudności wyjściowe, ale nie przesądzały sytuacji oświaty w bliższej nawet przyszłości.

Rozmach bowiem naszych inwestycji i naszej odbudowy właśnie zapowiadał szybkie przesuwanie się wydatków oświatowych na czoło szeregu pozycji budżetowych. To było oczywiście koniecznością kraju o tak wyraźnym ruchu emancypacyjnym mas; tak wyraźnej realizacji masowego awansu kulturalnego.

Ale musiało to być przygotowane planowym wysiłkiem — a nie „emigrancim” narzekaniem.

To też już w budżecie przedłożonym na okres od 1.4 — 31.12 1946 r. — ale też dopiero w tym budżecie — oświata wyśorowała się na drugie miejsce, którego nigdy nie zajmowała w dobie sanacyjnej. Zwłaszcza, że zajmujące pierwsze miejsce wydatki na obronę naroduwa przetrasta wydatki oświatowe bardzo nieznacznie:

Ministerstwo Obrony Nar.: 5.995.000.000 zł

Ministerstwo Oświaty 5.092.322.300 zł (nb. wydatki min. bezpośrednio następujących po M. O. oscylują już tylko około 3 miliardów).

Właściwie jednak w rok po zakończeniu działań wojennych nasz odbudowujący się dopiero kraj oświata postawił na jeszcze wyższym miejscu, bo do sumy podanej należy dodać fundusze Ministerstwa Kultury i Sztuki 236.815.000, oraz wydatki Ministerstwa Rolnictwa na szkoły rolnicze, którymi obecnie zajmuje się ta instancja zamiast M. O. t.j. sume ponad 95.000.000 zł a także około 100.000.000 z funduszy oświatowych innych resortów.

Bohdan Czeszko

N O T Y

DWIE EUROPY

Wszyscy jesteśmy świadkami, że kraj nasz został zniszczony przez okupację. Być może że dziś już większość tych szkód potrafilibyśmy wyrazić cyframi. A jednak bliższa obserwacja przekonywuje mnie, iż w codziennym naszym myśleniu nie zdajemy sobie dokładnie sprawy z rozmiarów i skutków niemieckiego rabunku na naszych ziemiach.

Uzmysławia to niesłychanie jasno i plastycznie dopiero zetknięcie się z innymi krajami. Tymi, które tej okupacji również zaznały i tymi, które ominęła. To dopiero ukazuje jakie miejsce zajmuje problem strat wojennych w życiu narodów europejskich i jak zasadniczo skutki gospodarki okupacyjnej warunkują tempo, trudności i charakter procesów odbudowy i normalizacji życia państw kontynentalnych.

Śmiało da się powiedzieć, że przez Europę biegnie wyraźna granica — nie terytorialna, ale poziomów życia, tempa prac, charakterów niedomagań życia zbiorowego, granica dzieląca państwa europejskie na dwie jakościowo różne grupy. Tych, które przeżyły okupację i tych, przez które Niemcy nie przechodzili. W pierwszej grupie beda kraje bardzo zróżnicowane. Bada między nimi wyraźne, uderzające ilościowo, różnice stopnia zubożenia i stopnia zachowanej zamożności, równowagi, normalności życia. Lecz bardziej niż te ilościowe różnice będzie nas uderzało podobieństwo losu jednostek, stylu życia zbiorowego, pewnych zasadniczych zakłóceń rytmu procesów gospodarczych. I łatwo w nich dostrzeżemy skutki gospodarki okupacyjnej Niemców. Ten to też czynnik naszej bieżącej historii musimy traktować jako najistotniejszy z czynników determinujących wszystkie nasze trudności życia osobistego i zbiorowego. Tego co najbardziej nam ciąży, co najtrudniej jest przezwyciężyć, czego zbyt powolne zanikanie najbardziej nas niecierpliwi, nie dostrzeżemy w krajach, których nie dotknęła niszycielska raka faszystwu. Ale też to wszystko właśnie zauważymy nawet w znacznie mniej dotkniętych, bardziej bogatych i uporządkowanych niż nasz — krajach, które maja lata okupacji niemieckiej za sobą.

Może najbardziej uderza to człowieka przybywającego do Danii. Ten mały, lecz bogaty, dobrze uporządkowany kraj — potrafił znaleźć jakieś modus vivendi z Niemcami. Dowodzi tego fakt, iż przeciętnie każdy duński rolnik zarobił w ciągu wojny 40.000 koron. To wyraża się również tysiącami dolarów. A jednak występują tu znane nam dobrze okupacyjne braki.

Brak tekstyliów. Zaopatrywać się trzeba nielegalnie w Szwecji. Ludzie są na ogół źle ubrani. Nawet kobiety. Stosuje się kartki na tuszce. Nawet na słynne duńskie masło, którego na dzień mieszkaniec może dostać 3 dkg. Nie ma papierosów. A na kartki dają złe, gorsze od naszych. Bez kartek, pokątnie, drogie i także złe. Bez kartek nie dostanie się zupełnie mydła. Potrzeba organizowania eksportu przede wszystkim — powoduje niedostateczne zaopatrywanie rynku wewnętrznego. Jest to konieczne tworzenie gospodarczych inwestycji dla przyszłego dobrobytu. Ale niecierpliwi przeciętnego obywatela, który czuje się pokrzywdzony. Chętnie oskarża o przemoc — Anglików — klientów zbiorowego duńskiego gospodarstwa, ale przykrych konkurentów dla żołądka pojezyckiego Duńczyka.

Na tym tle materialnym występują — jakże nam znane, podobnie i u nas uwarunkowane procesy duchowe. Oczywiście w kraju mniej zniszczonym ma to wszystko znacznie słabsze nasilenie niż w Polsce.

Młodzi duńscy uczeni nie mogą pracować naukowo. Muszą dorabiać lekcjami i innymi pracami, bo pensje nie starczą. Nie odpowiadają cenom rynkowym. Walucie daleko jest do mocy i równowagi korony szwedzkiej czy dolara.

A o miedze — w Szwecji — rządzonej tak samo, o podobnych obyczajach i przeciętnej psychice obywateli życie układa się zupełnie inaczej.

Przy braku materialnych przyczyn — nie ma i duchowych skutków. Szwecja to kraj jakościowo różny. Ale przypominający stojącą sadzawkę.

MY I ONI

W szaleństwie naszej emigracji londyńskiej jest metoda. Wydawało się, że znamy tę metodę. A przecież zawsze potrafia nas wprowzić w zdumienie swoim reagowaniem na każdy nowy problem życia w kraju.

Obecnie wiele myślimy o referendum. Za-uważyla to i emigracja.

Nam w kraju — i tym z prawa i tym z lewa, i całej prasie — wydaje się, że różnić się możemy właściwie tylko odpowiadając na pierwsze pytanie referendum dotyczące uznania lub nieuznania senatu.

Tygodnik londyński „Wiadomości Polskie” inaczej, Ci uważają za prawdopodobną powszechną zgodę na jednoizbowość parlamentu i potwierdzenie reform społeczno-gospodarczych w konstytucji. Natomiast piszą dosłownie: „Pytanie trzecie, dotyczące granic na Odrze i Nisie wywoła na pewno najwięcej dyskusji i sporów”.

Nie mogę opędzić się wrażeniu, że normalne ludzkie myślenie doprowadza obecnie w kraju do powszechnej aprobaty naszych granic zachodnich.

Na czym, u pioruna, polega obłęd naszych londyńczyków, że ich rozumowania doprowadzają do przeciwnego wyniku?

Bo chyba nie jest to tylko przekora w stosunku do kraju?

Zwłaszcza, że czołowy publicysta tej emigracji pan Nowakowski ocenia sytuację tego środowiska zupełnie trzeźwo, normalnie, tak jak cały kraj. Pisze bowiem w tygodniku „Skrzydła” (Nr. 7): „Przepaść między nami a krajem pogłębia się z dnia na dzień. Wiadomości samą mową o dalszym pogłębieniu rozbratu między nami a nami. Jeśli wierzyć przybyszom — przestali tam już liczyć na nas, przestana — podobno — nawet myśleć o nas. Krok stąd do zapomnienia o naszej egzystencji... Teraz, jak się zdaje, jesteśmy niczym, po prostu niczym”.

żk

SAMI O SOBIE

W nr. 7/470 tygodnika reakcyjnego „Skrzydła” ukazał się artykuł Zygmunta Nowakowskiego p.t. „Życzenia na święta i na codzień”. P. Nowakowski do niedawna bardzo bojowy „londyńczyk” stracił werwę i stwierdzając, że „emigracja” zawisa w próżni, pisze tak: „Nie jesteśmy „emigracją”, ponieważ nikt z nas nie wyjechał z Polski dobrowolnie, by się osiedlić w innym kraju. Czemże więc jesteśmy? Sądzę, że ten fenomen bez precedensu w historii naszej i powszechnej, to zjawisko nienotowane w dziejach, to prozoriam, które może przeciągnąć się bardzo długo — sądzę, że ten „camping” to wygnanie z wygodami z lazienką z frigidarium, że to jest coś w rodzaju wolnej polskiej gminy, z której niby to na ziemi, w istocie zawieszona w próżni. To jakby Polska plenerowa, to podwórko nieziane, który utkwiał na jednym miejscu Lokomotywa wygasła, my zaś czekamy w wagonach. Pociąg nie rusza, a nawet zdaje się cofać, ale to już nasze złudzenie. On stoi, po prostu stoi”.

rdc

ODI PROFANUM VULGUS ET ARCEO...

„Gazeta Ludowa” z dn. 20 maja 1946 roku podaje następującą depezę:

„Przemówienie Papieża Piusa XII
Sytuacja obecna i w roku 1848.

WATYKAN, 19.5. — Papież Pius XII wygłosił przemówienie, w którym przeprowadził porównanie pomiędzy sytuacją obecną, a rokiem 1848. Papież oświadczył, że zarówno wtedy jak dziś, jak i zawsze, tłum szuka dóbr materialnych. Pomimo postępu materialnego, jaki dokonał się w ciągu ostatniego stulecia, świat stał się ofiarą poważnych zakłóceń. Pius XII podkreślił, że chrześcijaństwo nie zajmie się wykształceniem młodzieży, aby utworzyć z niej awangardę zdolną do sprośnienia wymaganiom sytuacji politycznej i społecznej”.

Tego rodzaju awangardy młodzieży oddzielonej od „tłumu poszukującego dóbr materialnych” były tworzone za naszej pamięci już nieraz. Wyliczyć je pokrótce: camels de roi we Francji, Balilla i Gioventu Fascista w Italii, Hitler - Jugend w Niemczech. A „tłum szuka dóbr materialnych” dziś tak samo jak i w roku 1848. I nie bez rezultatów pozytywnych.

rdc

WARKOT RATUNKOWY

Belkot jest zaraźliwy. Nie ustrzegła się nawet redakcja działu literackiego w „Głosie Robotniczym”. Nie ma to oczywiście większego znaczenia jeśli chodzi o całokształt działalności tego pisma, lecz tym bardziej należy zwrócić uwagę, by bakcyl belkotu nie znalazł w dziale literackim „Głosu” odpowiednią żywkę.

W Nr-ze 130 „Głosu Robotniczego” publicysta podpisujący się literkami S. L. w artykule p.t. „Lanreat Łodzi — Jastrun” tak określa właściwości poetki Jastruna:

„W bezdrożu trudnej wędrowki chmura uderzeń porywa lkający chór świata...”

Co to właściwie znaczy? A może to świadomy persyflaż na pewnych metrycznych receptach, którzy nie potrafia zdobyć się na żadne rozsądne zdanie. Gorzej, gdy autor wyraża oczywiście fałszywe wnioski, mylnie formułując czytelnika, o najbardziej istotnych podstawach poezji Jastruna.

„Pokolenia nie uczą się niczego w ciągu dziejów”. A przecież ob. S. L. wkrótce potem cytując fragment „Listu z Krzemieńca”, gdzie wyraźnie czarno na białym poeta mówi:

„Na zoranych dziejami polach Horsztyńskiego

Idą lanem pszenicznym żeńcy,
Czy słyszysz jeszcze ich śpiew
Na drugim brzegu?”.

A więc czy pokolenia uczą się czegoś czy nie uczą w ciągu dziejów?

W tym samym numerze, w dziele „Literatura i życie” w noweli p.t. „Ogień pod ziemią” znajdujemy następujące zdanie:

„Na kopalni wrze. Inżynierzy pieni się w rozkazach, warkot ratunkowy beśsiły”.

Nie bądźmy pesymistami. Sądzimy, że warkot ratunkowy pomoże.

rkm

NASI ZAGRANICA

Ze wszystkich wyznań uczynionych dotąd przez uparcie przebywających na emigracji przedstawicieli literatury, najcenniejsze wyda się nam wyznanie wiośenne p. Ryszarda Kiersnowskiego, ongi podpory sanacyjnej prasy młodzieżowej. Pan Kiersnowski jest bardziej szczerzy od Hemara, Lechonia i Nowakowskiego — trzech wieszczów naszej emigracji udrapowanych w togi narodowego męczeństwa. Pomniejszmy wieszczom powodzi się widać marniej. Poniżej przytoczamy wiersz p. Kiersnowskiego zamieszczony w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” z dn. 6 kwietnia r.b. Oto o czym marzyła co się skarży najmłodsza generacja poetycka naszej emigracji:

Wyznanie wiośenne

Pani, prześliczna Pani
Z miedzianowłosa główką!
Pojechałbym dziś dla Niej
Na spacer motorówką,
Porwałbym ją wprost z domu
(W razie oporu gwałtem)
I uwłóził pokryłomu
Moim zielonym autem!

Pani, prześliczna Pani!
Posłałbym Pani różę
I meczył ją listami
Najskrytejszych mych wynurzeń,
Zapraszał i przeproszał
Pachnaca, roześmiana,
I kazałbym czaradza
Dla Pani grać cyganom.

Pani, prześliczna Pani!
Po tym czaradzu właśnie
Zechciałbyśmy sami
Na siebie patrzeć jaśnie,
Cóżby się wówczas stało?
W powodzi snów, zawię,
Porwałbym Panią całą
Na week-end do Nicei...

Pani, prześliczna Pani!
To wszystko nie nie znaczy —
Dalecy i nieznan
Bedziemy żyć inaczej,
Pragnienia me i dreszcze
Nie spełnią się dlatego,
Bo dotąd nie mam jeszcze
Packarda zielonego.

Pani, prześliczna Pani!
Z Georgem, Robertem, Billeem,
Piosenką kołysani
Możecie jeździć Nilem —
A ja o srebrnej gwiazdzie
Śpiewając swe refreny —
Codziennie będę jeździł
W Londynie — za dwa penny.

Oto co ich boli.

rdc

Z KRAINY BELKOTU

Znane jest przysłowiove niedbalstwo i antynaukowość większości dotychczasowych badań nad procesami twórczości artystycznej. Bez żadnej krytycznej analizy próbowano przyporządkować procesom kształtowania dzieła literackiego w sposób trwały i prawidłowy najrozmaitsze procesy psychiczne nieobiete ścisłym pojęciem literackiego zachowania się w danej kulturze. Zwolennicy metody biograficznej przyporządkowywali w sposób kontencyjny procesowi działalności literackiej — lańcuchy procesów życiowych. Stąd np. spór między Sinka a innymi komentatorami „Trenów” Kochanowskiego. Pierwszy bowiem widział w nich realizację konwencjonalnych reguł poetki renesansowej, nawet i właśnie w szczegółach treści. Inni zaś starali się dobrać takich czy innych motywów, kompozycje i tym podobne elementy literackie wyjaśnić rzeczywistymi przeżyciami ojca i córki — Kochanowskiego i Urszulki. Oczywiście te koncepcje biograficzne były niesłychanie niekrytyczne, urągające wszelkim próbom subtelnego rozróżniania pojęć, szukania teoretycznych dowodów takich związków między życiem a literaturą. Związków z pewnością istniejących, ale których granica musi być w nauce bardzo ściśle oznaczona.

Dr Stanisław Jerschina w streszczeniu swej pracy „Liryka Norwida” (Sprawozdania Pol. Akademii Umiejętności N. 8) tak ustala zależność przyczynowa między formą dojrzalej

liryki Norwida — a stałymi dyspozycjami psychicznymi tego poety:

„Panowanie nad środkami ekspresji na przekór wszelkim pokusom poetyckości świadczy o wybitnym intelektualizmie i potędze woli” (podkreśl. nasze).

Jako dostatecznie adekwatna dla celów naukowego opisu swoistych i wyróżniających cech dzieła literackiego uważa dr Jerschina tak pod względem pojęciowym wyposażona charakterystyka: „Do najważniejszych cech wspólnych (sc. liryki Norwida) należy refleksyjność; obok niej — uczucie miłości Boga (Prawdy), odczynny, człowieka, sztuki i natury oraz nienawiści do szatana (zła), kłamstwa, bezduszności, małości i ciemnoty. Na tle tych dyspozycji mieni się bogata skala momentalnych przeżyć — od umieszczenia gniewu czy szlachetnej dumy po tęsknotę za krajem i elegijne wspomnienia”.

I dalej znów oszołamiające odkrycie nieoczekiwanego związku przyczynowego: „z powodu nieustannej czynności wyliryk czystą spotykamy u Norwida rzadko”.

Natomiast dość tajemnicze dla współczesnej psychologii jest operowanie pojęciem „żywiołu”: „...nawet najsilniejsze ekspresje uczuć wyrażała się krótko, jakby wydarte przemocą; gdzie zaś gniew przenika cały utwór, samo uciecie go w regularne strofy oraz złączenie z refleksją odbiera mu ceche żywiołu. Powodem tego — wstret do obrażania się”.

Ostatnie zdanie wydaje się rekordowym osiągnięciem metody psychologicznej w badaniach literackich. Jeśli właściwości dzieła literackiego dala się, jak chce tak liczni zwolennicy tej metody, wyjaśnić przez przyporządkowanie im przyczynowe odpowiednich właściwości psychiki autora to w tajemniczenie dr. Jerschini w głębie psychiki Norwida istotnie gwarantuje tej metodzie naukowe sukcesy. To odkrycie w naszym poecie „wstretu do obrażania się” przekonało mnie! Ale skąd Pan to wie, Panie Doktorze?

Bo Pan Doktor i w podświadomości Norwida orientuje się jak rzadko kto. Pisze bowiem: „Norwid natomiast, zaabsorbowany problemami treściowymi, arcydziela obrazowości i muzykalności tworzył jakby mimochodem, jak by na przekór własnemu żądaniu ascetyczności liryki”.

Ten polot psychologicznych subtelnosci dr Jerschini słabnie dopiero przy omawianiu techniki wersyfikacyjnej. To jest właśnie tam, gdzie teoria literatury wypracowała naprawde ścisły aparat teoretycznych badań: zespół pojęć i stwierdzonych prawidłowych zależności. Omówienie wersyfikacji Norwida przez Pana Doktora świadczy, iż nie zna klasyfikacji typów wiersza polskiego od sylabicznego do tonicznego. Mówiac o rytmie postuluje się tak łatwo sprawadzalna charakterystyką: „Rytm Norwida brzmi spokojnie, poważnie”.

W sumie: Panowie Profesorowie czy nie czas, abyście zainteresowali się sprawą unaukowania badań literackich? A przynajmniej eliminacja zbyt wyraźnej błagi ze swoich naukowych wydawnictw?

ELEGIA NA WYJAZD DO SZWAJCARII

Ministerstwo Kultury i Sztuki zapropowowało — blisko pół roku temu — kilkunastu przed stawicielom świata artystycznego wyjazd wypoczynkowy do Szwajcarii na zaproszenie Międzynarodowego Komitetu Pomocy dla Intelktualistów.

Z ministerstwa przysłano papiery,
Ministerstwu odesłano papiery.

Dołączono po dwie fotografie,
Opatrzono pieczęciami fotografie.

Jest w górach szwajcarskich kaskada,
Gdzie Aar spada i nie spada.

Mija marzec, kwiecień, maj,
Jakie góry! jaki kraj!

Milają fale w jeziorze,
Ministerstwo jest w dobrym humorze.

Czachowski tom dwudziesty pisze,
O Szwajcarii coraz ciszej.

Putrament mleczy, miła maj,
Kruczkowski mleczy, jaki kraj!

Dwaj muzycy na gruźlicę zmarli,
Nie pojedą już do Szwajcarii.

Pasternak jako człowiek prawy
Zlikwidował swoje ziemskie sprawy.

W kapeluszu w kwiatach Zarembina
Wzdycha, wspomina.

Inni jeżdżą do Warszawy, pytają,
Ministerstwo obiecuje: w maju!

Pytają szwajcarskiego pośta,
A on nic nie wie, i minęła wiosna.

Liga intelektualistów w Genewie
O niczym nie wie.

mi 1

CENY OGŁOSZEŃ: F. półna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Probne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpalce.

Redaguje Zespół „Kuznicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D-09020

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

Wydawca: Zespół „Kuznicy”. — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Człotelnik” Nr. 4, ul. Zwirki 2.